

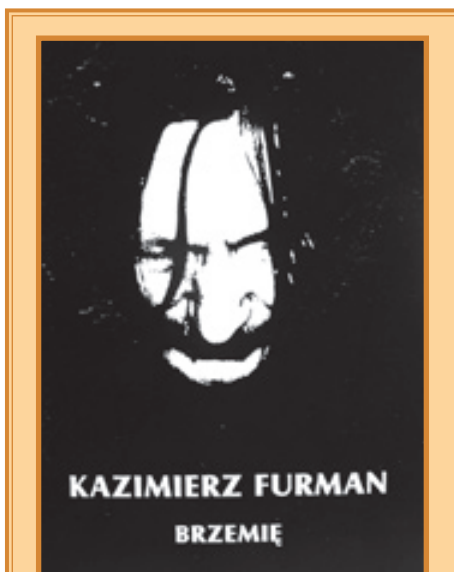


Leszek Żuliński

ŻALNIK

Dawno nie czytałem wierszy Kazimierza Furmana. Jego nowy tom uruchomił wiele skojarzeń, jakie przez lata przetrwały w mojej pamięci. Furman był od zawsze „clochar-dem” poezji. Nie uznawał żadnych odmian jej „salonowości”. Nie cierpiał „mowy na koturnach”. Nie był wprawdzie zdeklarowanym turpistą, ale też „piękna” czy „brzydota” nie definiował według norm tradycyjnej estetyki. Między językiem poezji a językiem potocznym nie budował muru. Czasami zdawało się, że programowo wręcz prowokuje protest czytelnika przywiązanego do tradycji, „mowy wysokiej”, poezji „lirycznej” i wszystkich innych literackich liczmanów, które zwalniają nas z poszukiwania własnych wartości, dając gotowe wzorce do zachwyty. Każdy w pierwszym zderzeniu z wierszami Furmana myślał najpierw, co tu jest pozą, wykalkulowanym buntem, kolejną nową figurą tzw. „postawy poetyckiej”. Ale ta nieufność czy niewiara szybko mijały. Bo u Furmana autentyzm wiersza, jego szczerość, jego prawda – były przekonujące, często: boleśnie przekonujące. Ja myślę, że jeśli nawet Kazik w jakiejś mierze reżyserował swój *image*, to go nie zakłamywał. Te wiersze jednak były „pisane krwią”, pisane bez pozy, życiopisane. Gdyby koniecznie trzeba było tego autora przypiąć do jakiejś grupy, nieformalnej grupy, to widzę tylko jedną możliwość: do tzw. kaskaderów, „poetów wyklętych”, wagabundów, powsinogów, straceńców, abnegatów... Z tą abnegacją to jednak bardzo ostrożnie. Poeci, którzy wysadzają normalny, ulizany świat w powietrze, czynią to na ogół nie dla „poetyki ruin”, lecz dla nowych wartości, tych, które pozostają w cieniu w świetle ustabilizowanego „mieszczanstwa estetycznego” (i nie tylko estetycznego). Młodość poetycka szczególnie sprzyja takiemu outsiderstwu i buntowi.

cd. na str. 3



Kazimierz Furman CIERPLIWOŚCI

*Pamiętaj
Kiedyś nie doczekasz jutra
Naprawdę
To nie jest groźba
zdradzonej żony
Odrzuconego kochanka
Ani przepowiednia
To raczej przyjaciel
Kiedy będziesz się tego
najmniej spodziewał
Pełen planów na następne dni
W kalendarzu
zaznaczyłeś terminy
Daty
Godziny
Miejsca spotkań
Imiona nazwiska
I tak ten skrupulatnie
ułożony plan
Runie jak domek z kart
Tak będzie
Naprawdę
Bądź cierpliwy*

Castlebar, 01.10.2008

Marek Grewling

LEŻĄC

*„Wyglądał poważnie,
nawet dostojnie,
gdy stał lub siedział,
szczególnie zaś gdy leżał”.*

Ten *bon mot* nie został wymyślony przez żaden z kabaretów naszego rodzimego zagłębia humoru i bynajmniej nie dotyczy nikogo ze współczesnych – zresztą aż strach pomyśleć kogo mógłby dotyczyć.

Napisał to Gajus Swetoniusz Trankwillus w Księdze V, „*DE VITA CAESARUM*”, znanych nam jako „Żywoty cesarów”. Boski Klaudiusz – bo o nim jest to zdanie – cesarz o niezwykłym uroku i wiedzy, a zarazem niezwykłym okrucieństwie nie mógł niestety ustosunkować się do piękna cytowanej frazy, gdyż w roku publikacji dzieła (120 r. n.e.) po prostu już nie żył. Prawdopodobnie na szczęście dla autora. Wielkość Swetoniusza polega na tym, że jego charakterystyki mają zastosowanie uniwersalne. Oto minęły tysiąclecia, a te lapidarne – i nie ukrywajmy – przewrotne słowa, można by odnieść do wielu postaci naszej sceny państwowej, społecznej, kulturalnej i – przyznajmy to z pokorą – do własnej sceny życia. Jest jednak pewna kwestia: czy w istocie zasługujemy na takie określenie? Poważni? Dostojni? Kto? Gdzie? A może, może tylko śmieszni?

Nie wiem czy to jest łatwe wyglądać „poważnie, a nawet dostojnie”, gdy się stoi, gdy się siedzi, a szczególnie, gdy się leży. Pozornie wystarczy przyuczyć się do wykonania kilku póż i przyswoić sobie parę zgrabnych, najlepiej mało zrozumiałych zdań-wytrychów dla oczarowania słuchaczy,

cd. na str. 2

Ja wróciłem, a **Kazik Furman** pojechał do Szczecina. Do szpitala. Jest otroźniejszy ode mnie, bo zostawił poetycki testament. „Brze mię”. Ja też je w sobie noszę, jak chyba każdy, ale żyłem sobie przed szpitalem beztrudno, jak polny konik, robiąc grudniowego „Pegaza” na wesoło, więc nie miałem czasu na jakieś smutasy. A on miał, choć go choróbsko bardzo bolało. I dlatego, że to co nawymyślał to bardzo piękne i mądre smutasy, tyle mu miejsca w dzisiejszym numerze na początku poświęcam. A zaraz obok **Herbert**, którego nazwisko z imieniem Zbigniew będzie nosiła od piątku 26 czerwca czyli dziś, duma Gorzowa – nowa i architektonicznie okazała biblioteka. Choć środowisko bąkało coś nieśmiało o prowincjonalnych kompleksach Pana senatora-wnioskodawcy, który nie dostrzegł zasług dla ambitnego miasta średniej wielkości z marnym żuzłem, gorzowskiego Księcia Poetów, też na Z. Morawskiego. Ani Księżniczki Ireny D. czy Wielkiego Łowczego Rzeczypospolitej przedwojennej Włodzimierza Korsaka, o Dobrej Wróźce Papuszy nie wspominając. Jej tablica dotąd wisi u portalu starej zdegradowanej do remontu willi, a przed nowym gmachem od Parku Róż pomnik jej stoi i każdy głupi od dawna już myśli, że to ona jest patronką WiMBP. Wybacz nam duchu większego od Zdzisława Księcia Poetów Polskich, że nie wszyscy byliśmy za Tobą. Miałeś potężne poparcie wpływowego senatora, który wiedział jak, gdzie i kogo przysposobić, by Twoja chwilowa obecność, czy jak chcą złośliwi – nieobecność, przy boku Byrskich w Teatrze Osterwy przeważała szalę na niekorzyść kontrkandydatów... Trudno-świetnie! Od dziś, z imieniem Herberta na frontonie będziemy bardziej centralnie ogólnopolscy. Nasz „Pegaz L.” jednak pozostanie czasopimem regionalnym, z coraz rzadszymi periodami, bo centralnie odmówiono naszemu patronowi pieniędzy na wspieranie własnego czasopisma. Za to będą się musiały złotóweczki znaleźć na koszty administracyjno-techniczne (szyld, pieczątki, exlibrisy, druki - strach pomyśleć!). Prawie jak z ulicą Fornalskiej. Też oprotostowano pomysł senatora-wniokodawcy i też bez skutku. Vox populi bez puli... Mamy ulicę Herberta (patrz „Imiona ulic”, str. 5). A dalej nasz kolega **Władek Łazuka**. Zza północnej miedzy, bo z Choszczna, które do naszego województwa już nie wchodzi, ale jest nam jako poeta wierny i do gorzowskiego oddziału ZLP należy, wszedł między jubilaty, bo mu czterdzieści lat minęło jak jeden dzień. O nim na kilku następnych stronach.

A potem nowe wiersze starszych i młodych poetów gorzowkich z **Karolem Graczykiem** na całej kolumnie. Ten ma pisanie! Dla tych z innych stron kraju znów zabrakło miejsca, bo musieliśmy wraz ze Zdzisławem Morawskim-żeglarzem i jego małżonką Marią, uczcić Święto Morza. Że nam wielkopolskim Lubuszanom daleko do morza? Mamy wszak pasażerski lodołamacz „Kunę” a na niej Wartą i Odrą blisko.

Znów dużo nowych książek. Bohaterka dzisiejszej promocji Maria Borecz, mimo 5000. koleców na jeżu urodziła książeczkę z wierszami pt. „Najeżona oczywistość”. Doczekała się przez WiMBP ślicznie wydanej książeczki Anna Żłobińska. Ale jej debiutem zajmiemy się dopiero we wrześniu. Krystyna Kamińska zajęła się za to regionaliami. Też ich sporo czekało na jej i naszą opinię i się doczekało. Nawet Don Wasyl. Kronika wydarzeń z obecnością literatury była zbyt obszerna, by w całości się zmieścić na łamach, stąd zaledwie szczytkowe konotacje. Za to satyra z Laudą, Grossem i Głodzikiem. Idzie lato. Może przez wakacje coś wesołego napisze też Szyfer?

Wasz red. nac.

Ireneusz K. Szmidt

dok. ze str. 1

k którzy pustosłowicie gładkich wypowiedzi przyjmą za elokwencję, ba nawet za erudycję. Wielu uważa, że wystarczy zmierzyć w odpowiedni sposób czuprynę, założyć kostium znamionujący, że jego nosiciel jest: politykiem, ekonomistą, społecznikiem, literatem, muzykiem, autorytetem moralnym – tu wstawiamy wybraną przez siebie opcję – i gotowe. Niestety, przyjąłem optymistyczną wersję. O ile boski Klaudiusz i wielu innych po nim przy wszystkich swoich ułomnościach potrafili jednak być poważni, a nawet dostojni, o tyle dzisiaj trudno o takie cechy nie tylko u leżących, ale nawet u takich, którzy siedzą, a nawet stoją. Doszło bowiem do tego, że prominentne osoby (cokolwiek może dzisiaj znaczyć to słowo) już nawet nie chcą się wysilać na poważny wygląd. A co tu mówić o dostojności? Ach, gdzie się podziały dostojne osobowości? Bo gdy się stoi lub siedzi, a szczególnie, gdy się już leży, poważny a nawet dostojny wygląd ma znaczenie.

Swetoniusz używał określenia *hereditas gloriae*, spuścizna sławy. Miarą oceny postaci władców w jego „Żywotach cesarów” jest spuścizna sławy, czyli umiejętność korzystania z wielkości antenatów i zastosowania jej w swoim panowaniu. Naturalnie do tego potrzebny jest dystans w stosunku do siebie i w stosunku do historii.

Vladimir Nabokov zabawił siebie i czytelnika z pozoru banalną i smutną historią swego życia. Potrafił jednak zachować dystans i z tego, co mogło stać się niewarte wspomnienia, uczynił rzecz wyglądającą poważnie, a nawet dostojnie. Mam na myśli powieść „Ada albo Żar”. To nieprawdopodobnie smakowita historia pewnej miłości, pewnej rodziny i epoki. Spojrzenie na to, co było bez obciążenia i pretensji. Spojrzenie na siebie bez narcyzmu i mitomanii. Podobnie jest z Wiesławem Myśliwskim. Jego „Kamień na kamieniu” to polska banalna rzeczywistość, którą pisarz potrafił otoczyć subtelną mgiełką powagi i dostojności. To również stało się dzięki dystansowi pisarza do materii literackiej, a mówiąc zwyczajnie, do własnego życia i jego historii. Dlatego pozostawił po sobie wspomnianą *hereditas gloriae*. Gdyby Myśliwski zaczął się „po polsku” angażować, gdyby jego powieść nabrała wymiarów moralno-kategorycznych, aż strach mówić, ale kolejnego „Popiołu i diamentu” nie przeżyłbym. Przywołam tu jeszcze Hansa Georga Behra, „Prawie dzieciństwo”, w którym autor dzięki pokorze i dystansowi, potrafił rozliczyć się z osobistą traumą nazizmu.

Piszę o sztuce korzystania z *hereditas gloriae*, gdyż bez nauki nikt nie osiągnie żadnej powagi. Ani w wymiarze społecznym, ani w wymiarze jednostkowym, ani w żadnym wymiarze.

Można wyglądać poważnie i dostojnie w różnych pozach, stojąc, siedząc, a nawet leżąc... choć w postawie leżącej to naprawdę trudne.

Marek Grewling

PEGAZ LUBUSKI

Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP.

Red. nac. **Ireneusz K. Szmidt** (tel. 501 520 227, e-mail:

wag.arsenal@wp.pl), z-ca red. nac. **Beata P. Klary**, sekretarz:

Danuta Zielińska, współpraca: **Krystyna Kamińska**, **Marek**

Grewling, zdjęcia: **I. K. Szmidt**, **Zbigniew Olchowik**, **archiwum**

wydawcy i autorów, grafika: **Zbigniew Olchowik**

Wydawca: **WiMBP w Gorzowie Wlkp.**, ul. Sikorskiego 107, tel. 95

727 70 70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl,

www.wimbp.gorzow.pl oraz **ZO ZLP w Gorzowie Wlkp.**

Skład komputerowy: **Daniel Besta**, tel. 694 479 087

cd. ze str. 1

Andrzej K. Waśkiewicz we wstępie do tomu pisze: *W owym tak dramatycznie akcentowanym poczuciu obcości (...) widzę bardzo indywidualną wersję przygody ostatniej generacji, która doświadczała procesu awansu społecznego. Tego jej szczególnego odlamu, który owego awansu doświadczył jakby połowicznie. Awansując, tak powiedzmy, mentalnie, społecznie Furman pozostał tam, skąd wyszedł. Wszędzie obcy, i jakby nie na swoim miejscu. To całkiem inna przypadłość niż opisywane przez pisarzy starszej generacji (Zygmunta Trziszkę chociażby) „koszty własne” tego procesu. Bardzo niewielu pisarzy potrafiło tego dokonać bez mentalnych zafalszowań. Opisać ową dwoistość bytowania, dramaty, które rodzi; sprawdzić na sobie samym wewnętrzne napięcia, nieprzystawalność różnych aksjologii, w których działania są oceniane (włączając w nie samoocenę)... To zapewne więcej niż pisać piękne, „antologijne” wiersze.*

Ale dziś? W jakim kontekście dziś czytać te wiersze?

Dziś Furman jest świeżo upieczonym sześćdziesięciolatkiem; ma za sobą, jak mniemam, wszelkie eksperymenty „niekompatybilności” ze światem. Teraz to raczej świat dyktuje ową „niekompatybilność” poecie. A raczej Los, a nie świat. Z nowego tomu wierszy zatytułowanego *Brzemie* wnoszę, że autor mocuje lub mocował się z chorobą i dziś bardziej jest myślami na Polach Elizejskich niż między nami, żywymi. Tak, każdemu poecie, aby pobyć w Hadesie, niepotrzebny jest Charon; wystarczy trauma choroby, która jak łódka wozi nas między życiem a śmiercią. Więcej tu metafory i paraboli niż w dawnych tekstach, zdominowanych przez swoisty reizm. Widać także wątki autotematyczne (co oznaczałoby, że Furman zdaje sobie sprawę z „egzystencjalizmu” własnej poezji), widać momentami zabiegi słowotwórcze (co z kolei wyprowadza ten język z nawyków potoczności)...

Tu zresztą konieczna dygresja, ta mianowicie, że Furman istoty swego „kłoszardowania” od początków nie utożsamiał z „prostactwem” jako wartością. Jest w tym tomie grupa wierszy z lat 80. i 90., także z wcześniejszych lat bieżącej dekady i już tam widać echa odczytania, aluzji, odniesień do aksjologii humanistycznej, historii politycznej, historiozofii, mitów kulturowych... On był zawsze *poeta natus*, a nie *poeta doctus*, był zawsze za *prawdą rzeczy*, a nie za *pięknem rzeczy*, więc czytanie Furmana wymaga czujności – łatwo wpaść w doły, których w tej poezji nie ma. Łatwo familiarnie go „shimilsbachować”, podczas, gdy on warty jest „udostojewszczenia”.

Jedno jest pewne: w najnowszych tekstach przyszła pora na najtrudniejszy z ludzkich rachunków. Na pytania ostateczne. Na przeczucia ostateczne. Na domysły niepewne. Na definicje. Na stawianie kropek. *Śmiertelny tuli śmiertelność w ramionach...* – że sparafrazuję Zbigniewa Jerzykę.

Oto tylko jeden z przykładów, wiersz pt. „Cierpliwość”: *Pamiętaj / Kiedyś / nie doczekasz jutra / Naprawdę / To nie jest groźba zdradzonej żony / Odrzucone- go kochanka / Ani przepowiednia // To raczej przyjaciel / Kiedy będziesz się tego najmniej spodziewał / Pelen planów na następne dni // W kalendarzu zaznaczyłeś terminy / Godziny / Miejsca spotkań / Imiona i nazwiska / I tak te skrupulatnie ułożony plan / Runie jak domek z kart // Tak będzie // Naprawdę.*

Jasność! Zero nadziei. Koniec!

Esapizm i rezygnacja są naczelną cechą tych wierszy. Ich brzmieniem, ich esencją. Oraz Wysoka Nuta Żalu. Tak, to są wiersze-żalniki. Śmierć oczekiwana entuzjastycznie? – to by chyba przerastało prawdę życia i prawdę umierania lub wymagało żelaznej, nawiedzonej wiary w boską transcendencję. Ale Furman nie tą kwadrygą powozi. On, jak zawsze się trzymał, tak i teraz trzyma się konkretno, przyziemia, życia tętniącego prawdą. A domysł prawdy o nicości jest bardziej z jego biografii i jego poetyki niż domysł prawdy o wieczności.

Inaczej więc być nie może.

Kazimierz Furman wydał swój kolejny mocny, przejmujący, autentycznie brzmiący tom wierszy.



W połowie czerwca ukazał się nowy tom wierszy gorzowskiego poety Kazimierza Furmana pt. „Brzemie”. Książka od razu stała się wydarzeniem literackim nie tylko naszego regionu i wzbudziła zainteresowanie krytyków. Poniżej wybór wierszy z tego tomu.

WIERSZE

* * *

**Chyba ze sobą skończę
Nie idzie przecież dokąd iść
Gdy po drodze schody
Szlabany zasięki
I żadnego w tunelu światła
(byłem sprawdziłem:
ani oka
żadnego Boga
żadnego boga
nic)**

**Ale
Wygramoliłem się z tego
Po co
Tego nie wiem**

**Mogłoby się nie spodziewać
mnie tam
Podświadomość podpowiada
że jednak coś tam może być
Albo nie
Jak u kierkegaarda**

**Już noc
Wieczna noc
Lepka czern
Tumany mgieł
Kosmos**

**Miejsce bez Boga
Ludzka marność
Nic nie bycie**

**I co
I nic
Itd
Itp**

**Takie głupie ludzkie pytania
Takie głupie odpowiedzi**



* * *

Nie mam już sił
I nie mam czasu
By się sponiewierać

Powiem tak
Gdyby mnie tutaj nie było
Nie byłoby problemu

Jeżeli jestem
Jest

Spacer do przeszłości

Zgłębić noc o świcie
Zanurzyć się w wannie snu
W już historii
Przypomnieć sobie ostatnią
zmarszczkę

Wczorajszego dnia
Wracać w siebie i siebie opuszczać
Jak gdyby pisało się pamiętnik
Dziennik z wczoraj

Coraz bardziej cofać się
Zapominać siebie stojącego
przed bogiem z lustra
By nie zapomnieć siebie przeszłego

Iść w drugą stronę krwiobiegu
Aż do pepowiny
Przywiązać się do łóżyska

Być tak daleko od tego świata
Który żyć każe za karę
Aby raz jeszcze życie przeżyć
Jak niemy film
Z sobą w roli głównej
W trójwymiarowym obrazie

Tak sobie się zdarzyć
Mądrzejszym o śmierć

04.04.2004

* * *

Bóg
Który we mnie nie mieszka
Wcale nie dziwi się
Że nie wierzę

Przedtem wystawił mnie na wiele prób
Prawie żadnej nie zdałem celująco
Po prostu
Nie zgadzam się być niewolnikiem
Wiary

I choć co dzień
Jest we mnie Abel
Kain nie daje mi żyć

08.12.2008

Krytyka Kamińska

FURMANOWE BRZEMIE

Na tom „Brzemie” Kazimierza Furmana złożyły się wiersze z ostatnich lat oraz kilka wcześniejszych, z wyjątkiem jednego („Gniazdo 1985”) publikowane wyłącznie na łamach pism. Choć od ostatnich, ascetycznych, odróżnia je czasami wręcz rażąca bujność słowa, wiersze te tematyką i klimatem wiążą się z nowymi.

Same wiersze poprzedza przedmowa Andrzeja K. Waśkiewicza, od której zaczęłam lekturę. Waśkiewicz zajął się całym wcześniejszym dorobkiem Furmana, bardziej w aspekcie socjologicznym niż artystycznym. W jego interpretacji Furman jest klasycznym wytworem schyłku kultury socjalistycznej, w której twórcy mentalnie przerośli swoje środowisko, a przecie musieli w nim funkcjonować. Stąd nietypowe jego (ich) stroje, zachowania, styl życia, a także duchowa samotność. Kazik Furman taki właśnie jest: od stóp do głów ubrany na czarno, zawsze omotany długim szalem, z papierosem, także szklanką piwa w ręce, mówiący niewiele i niechętnie, a dopiero w wierszach wyrażający swą głęboką wiedzę humanistyczną, słuch poetycki i dotkliwe odosobnienie duchowe. Ostatnio do przyczyn jego samotności doszły mijające ciągle lata i dolegliwa choroba. *Przekroczyłem półwiecza próg/ Wydaje się niski/ Za nim/ Strone schody w dół// Schodzę coraz szybciej/ Z tej góry/ Która zwie się życiem* (***) *Przekroczyłem półwiecza próg*.

Z tej perspektywy Furman stawia najważniejsze dla człowieka pytania: o sens życia i o sens wiary w Boga. Nie umie sobie z nimi poradzić. Dobitnie podkreśla to w wierszu bez tytułu: *Bóg/ Który we mnie nie mieszka/ Wcale nie dziwi się/ Że nie wierzę// Przedtem wystawiał mnie na wiele prób. Prawie żadnej nie zdałem celująco/ Po prostu/ Nie zgadzam się być niewolnikiem/ Wiary// I choć co dzień/ jest we mnie Abel/ Kain nie daje mi żyć* (***) *Bóg*. Tom otwiera wiersz napisany w Irlandii, u stóp Góry świętego Patryka, który nie jest popularny w Polsce. Furman analizuje polskie formy oddawania czci Bogu i świętym. I znów bezradnie rozkłada ręce widząc odmienności w polskim i irlandzkim katolicyzmie. A przecież Bóg jest ten sam.

Podobnie trudny jest rozrachunek z życiem. Wiersz „Miało być pięknie” poeta kończy słowami: *To ani farsa/ Ani dramat// Jest smutno/ A miało być pięknie// To może nie będzie aż tak źle/ Rozstać się/ W porę*. Rozstanie nadejdzie. Nie ma dwóch zdań. Tylko: kiedy jest „w porę”? I co pozostawi po sobie poeta?

W innym wierszu pisze: *Każdego dnia i o każdej porze/ Poecie coś się rodzi/ Poecie coś się wymyśla/ Poecie coś nie wychodzi* (***) . A przedtem o poetach na str. 53 *I choć życie ich zdradza/ Wymyka się spod kontroli/ Chcą je dopisać do końca {*** Ewie}*. W innym wierszu mówiącym jednoznacznie o śmierci pisze: *... jestem pogodzony/ Czekam cierpliwie/ Na ten sen*.

A jednak mimo czarnego tonu dominującego w całym tomiku, na zakończenie Kazimierz Furman przypomniał wiersz „Gniazdo (Santocko 1985)”, chyba najpiękniejszy swój wiersz o urodzie świata i cudzie przyrody. Cały tom kończy wierszem o matce, z której piersi *ssalem głupotę i mądrość/ Pokarm mój*.

Tytuł tomu „Brzemie” autor przeniósł z tytułu jednego z najwcześniejszych wierszy tu zamieszczonych, z poematu pochodzącego z 1980 r. Od 30 lat ma świadomość, że niesie to brzemie życia, brzemie rozterek duchowych, brzemie samotności.

Znaczący to tytuł dla całego rozrachunkowego i smutnego tomu wierszy, tomu bardzo ważnego w całej twórczości Kazimierza Furmana.

Foto ze zbiorów PWSZ
w Gorzowie Wlkp.



Uliczka Herberta prowadzi od ulicy gen. Sikorskiego w kierunku wiaduktu kolejowego przy rzece Warcie, mając po prawej boczną fasadę i dziedziniec Urzędu Miejskiego oraz dawny gmach policji, a po lewej zabudowania Starego Bazaru. Przybliżmy postać nowego patrona gorzowskiej ulicy i od 26 czerwca br. także patrona pięknego gmachu gorzowskiej księżnicy.

Zbigniew Herbert

26 czerwca 2009 r. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gorzowie Wlkp. uzyskała imię Zbigniewa Herberta. Rok wcześniej gorzowscy radni (aczkolwiek nie jednomyślnie) zmienili ulicę Małgorzaty Fornalskiej na ulicę Zbigniewa Herberta. Tym samym zwieńczyli apel, który senator Henryk Maciej Woźniak wraz z Towarzystwem Przyjaciół Twórczości Zbigniewa Herberta wystosował w kwietniu ubiegłego roku do przewodniczącej Rady Miasta. W uzasadnieniu senator pisał, że czas przepracowany przez Zbigniewa Herberta w roli kierownika literackiego Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie był czasem twórczym, a tym samym niewątpliwie zasługującym na upamiętnienie. On także był ośrodkiem nadania imienia Zbigniewa Herberta naszej bibliotece.

W Bibliotece Głównej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej jest archiwum Ireny i Tadeusza Byrskich. Znajdują się tam kartki kreślone ręką Herberta z różnych zakątków świata, gdzie poeta wspomina swój pobyt w mieście nad Wartą.

W uroczystości nadania imienia Zbigniewa Herberta WiMBP w Gorzowie Wlkp. w dnia 26 czerwca 2009 r. wzięła udział wdowa po poecie Katarzyna Herbertowa.



Uroczystość rozpoczęła się podpisaniem przez Marszałka Województwa Lubuskiego i Prezydenta Miasta Gorzowa Wielkopolskiego aktu nadania Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie Wlkp. imienia Zbigniewa Herberta. Następnie w holu otwarto wystawę ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie poświęconą Zbigniewowi Herbertowi. Wykład o życiu i twórczości poety wygłosił Henryk Citko z Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Jest wielka szansa, że gorzowska księżnica dostanie z Biblioteki Narodowej archiwum poety w formie elektronicznej. Będzie wówczas drugą po BN instytucją w kraju posiadającą ten zbiór.



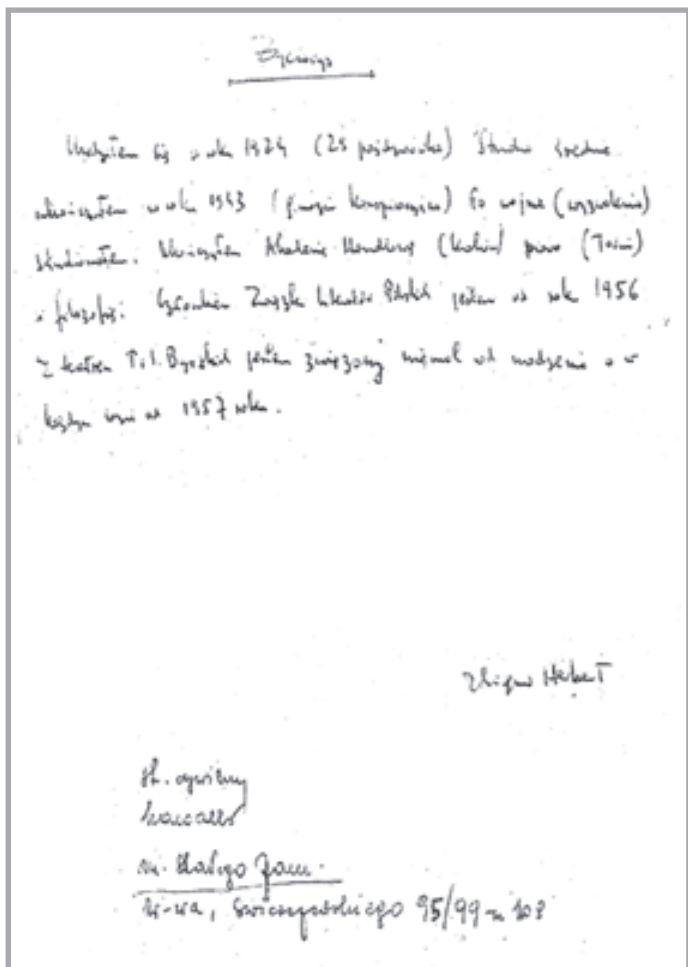
Irena Byrska zawsze dbała o świątłych kierowników literackich. Na początku 1963 r. funkcję tę powierzyła Zdzisławowi Najderowi, młodemu krytykowi sztuki, który do Gorzowa przyjechał bezpośrednio po stypendium w Oxfordzie (...), ale niebawem pochłonęły go naukowe prace i polityka, więc z Gorzowa musiał zrezygnować.

Chyba to on zaproponował na stanowisko kierownika literackiego młodszego kolegę - **Zbigniewa Herberta**. Herbert był już autorem trzech tomów poezji oraz esejów „Barbarzyńca w ogrodzie”, a przecież w Gorzowie tylko Irena i Tadeusz Byrscy widzieli w nim znakomitego poetę.

W pierwszym okresie zaledwie na krótko przyjeżdżał do Gorzowa, potem był za granicą, od Ireny Byrskiej dostał bezterminowy urlop bezpłatny. Powrócił od 1 września 1965 r., a w programach otrzymał tytuł „**dramaturga teatru**”.

Choć nie spędzał całego swojego czasu w Gorzowie, o teatrze mówił „nasz teatr”. Ksiądz Witold Andrzejewski tak wspominał swoje spotkania ze Zbigniewem Herbertem: *Był naszym dramaturgiem, spiritus movens, zapładniaczem umysłów. Na próbach prowadził analizę literacką i kulturową sztuki. Jeszcze bardziej twórcze były jego spotkania przy wódce. Siedzieliśmy z nim pół nocy, a on w swoim pokoiku wyciągał z kieszeni zmięte karteczki i czytał najnowsze wiersze. To był mistrz. Uczył nas metody szukania prawdy w tekście.*

(K. Kamińska, I. K. Szmidt, *BYLIŚMY W TEATRZE. 60 LAT TEATRU IM. J. OSTERWY*, Wyd. WAG Arsenal)



ŻYCIORYS

Zbigniew Herbert urodził się 29 października 1924 roku we Lwowie. Jego ojciec był dyrektorem banku i profesorem ekonomii. Kiedy w 1939 roku wkroczyli do Lwowa Sowieci, poeta miał lat 15. Jako uczeń założył sprzysiężenie Biały Orzeł, które – jak mówił – „szybko przyłapano”. Maturę zdał na tajnych kompletach pod okupacją niemiecką. Należał do AK i studiował na tajnym uniwersytecie filologię polską. Po wojnie przyjechał do Krakowa, tam krótko uczył się malarstwa. W Krakowskiej Akademii Handlowej uzyskał stopień magistra ekonomii. Potem jeszcze studiował prawo i filozofię w Toruniu (gdzie duży wpływ nań wywarł prof. Henryk Elzenberg) i w Warszawie. Pracował zarobkowo m.in. jako sprzedawca w sklepie, urzędnik bankowy. Przed rokiem 1953 publikował wiersze głównie w „Tygodniku Powszechnym”. W 1954 roku ogłosił swoje poezje w almanachu „Każdej chwili wybierać muszę”. Zawsze niezależny, przeciwstawiający się sowietyzacji i duchowemu zniewoleniu. W roku 1956 wydał pierwszy tom poetycki „Struna światła”, po nim przyszły dalsze: „Hermes, pies i gwiazda” (1957), „Studium przedmiotu” (1961), „Napis” (1969), „Pan Cogito” (1974), „Raport z obłożonego miasta i inne wiersze” (1983), „Elegia na odejście” (1989), „Rovigo” (1992). Uprawiał też twórczość dramaturgiczną („Dramaty” 1970) i eseistyczną („Barbarzyńca w ogrodzie”

1962; „Martwa natura z wędzidłem” 1993). Wiersze jego były tłumaczone na język angielski i niemiecki. Wiele czasu spędził za granicą – we Francji, w Austrii, Grecji, Niemczech Zachodnich, Stanach Zjednoczonych. Stan wojenny zastał go w kraju. Później wyjechał do Paryża. W roku 1990 wrócił do Warszawy, gdzie 28 lipca 1998 roku zmarł.

Pisząc o sukcesach Herberta jako poety, warto przytoczyć choć część nagród, które otrzymał: Nagroda Pierścienia i tytuł Księcia Słowa, przyznane za całokształt twórczości poetyckiej (1960); Nagroda Fundacji im. Kościelskich w Genewie (1961); Nagroda Fundacji A. Jurzykowskiego w Nowym Jorku (1965); Austriacka Nagroda Internationaler Nikolaus Lenau Preis (1965); Zachodniemiecka Nagroda im. Petrarke (1978); Nagroda Literacka im. A. Struga (1981); Nagroda „Solidarności” (1984); Nagroda Poetycka im. M. Sępa-Szarzyńskiego (1984); 1993 – członek Academy of Arts and Sciences; Kawaler Orderu Orła Białego; 10 lipca 2007 r. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uchwalił rok 2008 Rokiem Zbigniewa Herberta.

Bibliografia:

- Poznanwanie Herberta. Pod red. Marii Roli, Kraków 2000*
Barańczak S. Uciekinier w Utopii, Warszawa 2001
Błoński J., Romans z tekstem, Kraków 1981
Brzozowski J., „Pan Cogito Z. Herberta, Warszawa 1991
Franaszek A., Ciemne źródło, Londyn 1999
Kaliszewski A., Gry pana Cogito, Kraków 1982
Kwiatkowski J., Magia poezji, Kraków 1995
Tokarz B., Poetyka „Nowej Fali”, Katowice 1990
Siedlecka J., Pan od poezji, Warszawa 2002

IMIE KSIĄŻNICY OD KSIĘCIA POETÓW

Pięknie o Herbercie sprzed lat napisała Józefa Hannelowa: „Zbyszek – samotny, milczący, zniewalająco ciepły, ale zawsze z dyskretną nutką dystansującej ironii. Współbrzmiały z tym wszystkim, czym żyliśmy, niepodległy nikomu i niczemu. I taki sam odnajdowany później przez wszystkie lata kwitnienia i owocowania, sukcesów i rozgłosu. Czasem nadużywany przez doraźnych graczy, głupio dumnych, gdy udało im się wyrwać wielkiemu poecie dwa niedobre słowa o innych. Czasem brnący przez wertepy chorób i zapaści. Ale zawsze powracający do swoich własnych światów, wysnuwanych ze źródła, które aż do końca było w nim samym”.

Równie pięknie we wzruszającej mowie pogrzebowej powiedział o Herbercie biskup Józef Zawitkowski:

Pamięci świętej! Czcigodny Panie Zbigniewie, Książę Polskich Poetów, Największy z Orłąt Lwowskich, z Białym Orłem spóźnionej nagrody.

Przychodzę do Ciebie z Łowicza z wiązanką peonii – róż ubogich, ze wsi. [...]

Odchodzisz z Łowicką Pielgrzymką do Matki Boskiej Anielskiej [...]

Warszawa Cię zapamięta „I naród, który trwa wracając z pełnymi workami ze szlaków ucieczki” (Substancja) [...]

Jutro rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. Wybiła godzina „W”. Niech Pan pozdrowi Basię i Krzysia Baczyńskich i Wszystkich Kolumbów [...] Milkną muzy, gdy poeci idą do nieba, więc wybac słowa Największy z Orłąt Lwowskich Wierny i Niezłomny Warszawiaku. Do zobaczenia u bram Ardeńskiego Lasu.

(Podaję za: www.pheniks.pl)

O twórczości Herberta powiedziano już bardzo wiele, mimo to, nie zostało i nigdy nie zostanie powiedziane wszystko, gdyż jest to poezja różna, wielowątkowa, specyficzna. Język tej poezji jest bardzo oszczędny, co podkreślał wielokrotnie sam poeta: *Język to dobre narzędzie – nie wolno go nadużywać, trzeba szanować. Dobry cieśla kocha swe narzędzia, ale nie jest fetyszystą. Kocha je z powodu możliwości, które ofiarują, nie zaś dla nich samych. [...]* *Poezja jest bardzo spokojną siłą perswazji.*

I to prawda, choć nie można wysnuwać z tych słów wniosku, iż poezja ta jest przepelniona spokojem. Wręcz przeciwnie – jest pełna napięć i wzlotów, które potrafią nagle, wręcz bez powodu, opaść, by za chwilę wyciskać łzy z oczu czytającego. Język tej poezji dąży do niezauważalności i przezroczystości, stroni od wszelkich ekstremów. Nawet kolokwializmami posługuje się w sposób wyważony i umiarkowany. Herbert zaliczany jest do poetów stosujących poetykę „mowy wprost”, którą określają: koncepcja ciągłości kultury; brak determinant cywilizacyjnych; autonomia dzieła literackiego; modyfikacja jego specyfiki przez włączanie języka potocznego; zachowanie równowagi pomiędzy tradycją a terażniejszością; realizm; ekspresjonizm i stronniczość – jako strategia; prostota; ironia; metaforyczna reinterpretacja świata; konfrontacja symbolu z konkretem.

Jak pisał Jan Błoński: *Całą poezję Herberta rozdziera opozycja między Arkadią cnoty i piękna oraz Apokalipsą współczesności. Ow-*

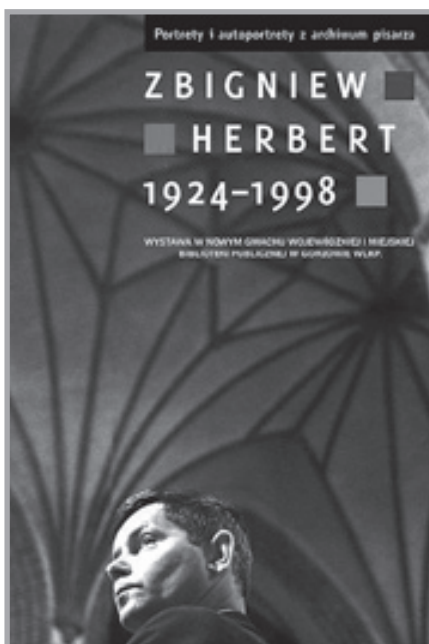
szem, choć tak naprawdę, to: *świat poezji Herberta jest wyjątkowo wielki, wręcz pozbawiony granic w sensie tematu, idei, źródła inspiracji, stopnia uogólnienia.*

To świat bardzo zmienny, który dostarcza czytającemu ogromu wrażeń, z dziedzin tak różnych i tak do siebie pozornie nieprzystających, że trudno jest określić zakres tematyczny wierszy. Można oczywiście wyróżnić pewne kręgi tematyczne, którymi są: człowiek wobec śmierci i zagadek istnienia („Brzeg”, „U wrót doliny”); człowiek w poszukiwaniu wartości etycznych („Pan Cogito”); człowiek wobec historii („Raport z obłąkanego miasta”, „Trzy studia na temat realizmu”); sztuka – jej wyznaczniki („Dlaczego klasycy”); władza, cierpienie, codzienność („Sprawozdanie z raju”); poeta i poezja („Przypowieść”). Oczywiście to tylko drobny wycinek tematyki poezji Herberta, wciąż na nowo odczytywanej, na nowo interpretowanej. A i tutaj pojawia się pewna trudność. Przystępując bowiem do interpretacji choćby niektórych wierszy poety, warto zaznaczyć słowa Krzysztofa Dybciaka, który mówił: *„Każdy z krytyków będzie miał rację, jeśli podda interpretacji pewną część utworów Herberta i żaden z nich nie będzie miał racji, jeśli jego wykładni przeciwstawi się inny zbiór tekstów. Wydaje się, że tylko generalne postawienie sprawy – zsumowania cząstkowych znaczeń wydobytych z pewnych, wybranych zbiorów tekstów – może doprowadzić do pewniejszych konstatacji”* (K. Dybciak, W poszukiwaniu istoty i utraconych wartości).

Warto tutaj pokusić się o zakwalifikowanie Herberta do odpowiedniego przedziału czasowego w historii literatury polskiej. Otóż *formalnie Herbert jest przedstawicielem pokolenia „Współczesności”, pokolenia debiutującego po październiku roku 1956. Do dziś wspomina się słynny 51 numer „Życia Literackiego”, który przyniósł wiersze pięciu poetów: Białoszewskiego, Czycza, Drozdowskiego, Harasymowicza i Herberta. Rychło do wspomnianej piątki dołączyli Grochowiak, Bryll, Bursa, Rymkiewicz, Czachorowski, Sito, Śliwiak, Nowak, Karpowicz, Szymborska, Śliwonik. [...] Pokolenie „56”, pokolenie „Współczesności” miało swego lidera w osobie wyjątkowo utalentowanego Stanisława Grochowiaka. Powiedzmy wyraźnie: *Grochowiak, Bryll czy Harasymowicz są poetami czytelniejszymi od Herberta nie w zakresie stosowanych środków wyrazu, ale w sensie ideowym: wymienniejsza jest po prostu ich orientacja światopoglądowa.* (M. Krassowski, Zbigniew Herbert – poezje, Warszawa 1991, s. 5-7)*

Beata Patrycja Klary

Od red. W Gorzowie Księciem Poetów nazywano Zdzisława Morawskiego, też wybitnego poetę i kontrkandydata do patrona biblioteki wysuniętego przez środowiska twórcze miasta. **Przegrana Zdzisława nie przynosi mu ujmy. Jesteśmy przekonani, że znajdzie się kiedyś godny jego imienia obiekt i ulica w Gorzowie.**



Poeta i prozaik Władysław Łazuka, mieszkający w Choszczynie członek gorzowskiego Oddziału ZLP, doczekał się jubileusza 40-lecia swojej twórczości literackiej. Uroczystość z tej okazji w dniu 29.05.2009 zorganizowali wspólnie Towarzystwo Miłośników Ziemi Choszczeńskiej, Miejska Biblioteka Publiczna i Choszczeński Dom Kultury.

Laudację jubileuszową wygłosił znany poeta i krytyk **Czesław Sobkowiak** z Zielonej Góry. Oto jej treść:



Drogi Poeto, Władysławie, Szanowni Państwo. Dobrze, kiedy w pewnym momencie życiowej i twórczej drogi, po wielu dokonaniach i losowych przejściach, przychodzi dzień publicznego docenienia, uznania i oceny tego wszystkiego, co się w życiu zrobiło. Bowiemy wtedy można poczuć sens wieloletniego osobistego wysiłku, sens wynikający ze społecznej nieobojętności. To się należy twórcy sztuki, poecie, pisarzowi, w ogóle każdemu człowiekowi, który czyni jakieś dobro nie tylko dla siebie.

WIERNY I WYTRWAŁY

Dzisiaj nasza obecność w tym miejscu jest taka właśnie szczególna, a w swej istocie piękna, bowiemy bohaterem tego dnia, który ma znamiona święta, jest Władysław Łazuka, od wielu lat mieszkawiec Choszczyna. Tu właśnie spędza swoje dorosłe lata życia. Wykształcony został w kierunku rolniczym, ale od urodzenia, jak to się mówi: poetą.

Sądzę, że dla wielu ludzi tego miasta też ten dzień nie jest bagatelny. To, że dzisiaj możemy już ze spokojem powiedzieć, iż od kilku dziesiątków lat z tym miejscem Władysław Łazuka złączył swój los, świadczy także o otaczającym go kręgu. A więc poniekąd są powody do osobistej dumy. Dzisiaj nikomu może nawet nie przychodzi na myśl, bo za wcześniej na tego typu rozważania, ale te powody do dumy, w przyszłości będą jeszcze większe, gdy dzisiejsze dzieje staną się już wyłącznie historią. Wtedy też sens wielu napisanych przez Władysława Łazukę poezji uzyska dodatkowe konotacje, wpiszą się jego poetyckie zdania w legendę i mitologię tych domów i ulic. Będzie bez wątpienia na nowo, z uwagą odczytywany. Bo kimże jest poeta, jeśli nie wyrazicielem, z jednej strony ducha czasu, swojej współczesności, a z drugiej ducha miejsca, które go otacza. Władysław Łazuka tę rolę pełni wystarczająco długo, stąd dzisiejszy Jubileusz, jego pisarskie Czterdziestolecie.

Z podziwem patrzę na drogę, jaką przeszedł Władysław Łazuka. Podziw ten bierze się stąd, że był i jest w uprawianiu tej najtrudniejszej uprawy, czyli sztuki słowa, wierny i wytrwały. Realizuje swoje duchowe powołanie według sprawdzonych w polskiej tradycji zasad. Jest wierny swoim korzeniom, nie wykalkulował w swoim życiu niczego koniunkturalnego. I mimo przecież różnorodnych trudnych życiowych przejść, oparł się i opiera nadal wielu przeciwnościom. Nie złamał pióra, nie porzucił obranej drogi, jak wielu innych, którzy też wchodzili do literatury przed wielu laty. Powiedziałbym nawet więcej: Władysław Łazuka po opublikowaniu swoich pierwszych książek, (a na druk wtedy długo się czekało), książek wprowadzających w świat literatury jego nazwisko i jego problematykę, nadal jest aktywny, prawdziwie twórczy. To jest najważniejsze potwierdzenie talentu. Ukazują się kolejne tytuły

Na ręce jubilata prezes Zarządu Oddziału ZLP w Gorzowie skierował następujący adres:

Drogi Władku!

Jak ten czas leci... Ani się nie obejrzelśmy a już 40 lat mija od Twojego wstąpienia na Parnas, którego furta nie dla każdego stoi otworem, kto w kalamarzu pióro maczał. W imieniu Twoich koleżanek i kolegów z naszej organizacji pisarskiej, gratuluję Ci 13 wydanych wartościowych książek, z których jedną pt. „Jeszcze wiersz” i mnie udało się w „Arsenale” wydać. W tym uroczystym dla Ciebie dniu przyjmij moje najserdeczniejsze życzenia pomyślności na dalszej twórczej drodze życia i zapewnienie o szczerości tych życzeń. Jak będziesz przelatował Pegazem nad Gorzowem, poproś go, by pomachał kopytkiem nad ulicą Jana Daniela Janockiego.

Dano w Gorzowie pocztą e.maiową 29 maja 2009 roku

książek, także z tego dorobku, który w jego pisarskiej szufladzie się zdążył również odłożyć, ale co istotne, widać, że ma poeta ciągle wiele interesującego do powiedzenia o sobie, świecie współczesnym, przyrodzie, wzmiankowanym wyżej rodowodzie. Po prostu – obecnie osiąga prawdziwą dojrzałość słowa i myśli.

Myślę, że nie od rzeczy będzie w tym miejscu przywołanie krótkiego biogramu Poety. Władysław Łazuka urodził się 15 września 1946 r. w Tyrawie Solnej, niedaleko Sanoka. Dzieciństwo natomiast przypadło mu spędzić w wiosce Zatom, wśród bujnej przyrody gęstych lasów, wzgórz i nad płynącą w pobliżu głęboko, w jarze, czystą rzeką Drawą. Te krajobrazy, wtedy jeszcze nietknięte skażeniami cywilizacji, bardzo mocno ukształtowały jego osobowość poetycką, nasączył się nimi jak przysłowiowa gąbka wodą. Są ciągle z nim. Można rzec, że są jego niezwykłym skarbem. Kto czytał wiersze Władysława Łazuki, ten bez trudu te wszystkie wspaniałe ślady dotknięcia życia natury dostrzegł, obrazy całego świata tamtejszej fauny i flory, owych mchów, traw, buków, dębów, jesionów, liści *po dywanach utkanych z liści idę*, wody, ryb: *nad warkocz strumienia pstrąg wyskakuje; widzę jak w rwącym nurcie płynie kleń, lipień, brzana, sum, miętus*, są też obrazy ptaków i zwierząt. Jest to wszystko z wielką miłością i znawstwem materii opisane, choćby we wspaniałym wierszu *Las. Próba opisu*. W dojrzałych i dorosłych latach podawały mu te obrazy i doznania, zresztą niejedną raz, swą pomocną dłoń. Po latach zresztą powie bardzo dramatycznie: *Coraz mnie mniej w tamtym ogrodzie / Na podwórzu i na pagórku nad rozlewiskiem (...)* *Coraz mnie mniej a cały tam jestem (Bliżej)*.

Poeta ukończył Liceum Pedagogiczne w Stargardzie Szczecińskim oraz studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie. W Choszczynie mieszka od roku 1970. Tu też w pewnym okresie pracował w wojewódzkiej Stacji Kwarantanny i Ochrony Roślin. Debiutował literacko w roku 1969 na antenie Polskiego Radia Szczecin opowiadaniem *Dzień Starego*, a wierszem w Tygodniku Kulturalnym, gdzie dział poezji prowadził jeden z największych dwudziestowiecznych poetów polskich, Tadeusz Nowak, patron wielu poetów tzw. nurtu wiejskiego. W kolejnych latach natomiast ukazywały się zbiorki poezji Władysława Łazuki. Do tej pory pojawiło się ich trzynaście. Pierwszy nosi tytuł *Przejdę sad* (1976), następne to: *Tamto wszystko za tobą, Czytanie z natury, Wołanie źródeł, Bliżej o jeden dzień, Idę, Od przebiśniegów do płatków śniegu, W zwierciadle rzeki, Jeszcze wiersz, Gdzie szybki Drawy bieg, Kilka słów, Igraszki w pobliżu fraszki, Noc – podróż i inne wiersze*. Te cztery ostatnie tytuły, to najnowszy dorobek wydawniczy. Oczywiście publikował też wiersze w wielu czasopiśmie literackich ogólnopolskich i lubuskich – w Pro Libris, Pegazie Lubuskim, Akancie, Tygodniku Literackim, Autografie, Poezji, Latarni Morskiej, Lamusie i innych. Pisze także prozę oraz fraszki, z których ułożył osobną książkę. Jego publikacjom towarzyszyły

omówienia krytyczno-literackie. Otrzymywał nagrody literackie. Jest członkiem pisarskiej organizacji ZLP.

Gdyby li tylko zwrócić uwagę na niezwykle w znaczenia tytuły tych książek, to na dobrą sprawę, można byłoby w najogólniejszym zakresie ustalić zakresy tematyczne poezji Władysława Łazuki, sytuację jego bohatera poetyckiego, dramaturgię liryczną jak i światopogląd poetycki.

Wróćmy do poezji. Wspiera się ona na trzech filarach.

Po pierwsze, zostało w niej zapisane doświadczenie wiejskości; wiejska rodzinność, aura domu rodzinnego: *Oto jest moja okolica / dom jak niewielka kropka w zdaniu / zapach jaśminu kiedy wchodzi / przez drzwi na oścież uchylone* (*Okolica*), doznanie klimatu życia w nim, z portretem zapracowanego ojca: *Ojciec zmęczony na progu siada / Rękawem wolno twarz ociera* (*Na wsi*), zatroskanej matki „czekającej na mnie”, z chlebem wypiekany w domowym piecu: *zar naszego pieca / bochenki w ogniu czerwienieją, palą / stygną kromki* (*Wyjście*), z aurą świąt: *Siedzimy razem / pachnie świerk, Lamiemy rybę / płoną świece* (*Wigilia*) i zawsze rozpoznawane piękno oraz swojskość otaczającego sadu, który poeta wiele razy przemierza, dzieckiem będąc i później, wtedy, kiedy po powrocie z miasta biegnie zobaczyć swoje jabłunki i sprawdza czy jabłka nadal te same, co dawniej: *Idę sadem / odnaleźć jabłoń*. O nich po prostu w mieście śni.

Drugi filar naznaczony jest syndromem wyjścia z tego wiejskiego domu do miasta, w nowe realia, w których dochodzi do ciągłej, trudnej konfrontacji tych dwóch rzeczywistości. W całym nurcie wiejskim literatury polskiej jest to niezwykle dramatyczny i żywy temat. Posłużę się słowami poety: *kiedy dowiedział się / że świat / wcale nie kończy się za polami / gdzie cień rzuca las / był zdziwiony*. To zdziwienie w następnym doświadczeniu nieco bardziej skomplikowaną przybiera postać, postać ciągłej konfrontacji w obrębie wewnętrznej tożsamości: *chodzę po miedzy / Po chodniku / Siedzę na skwerze / I pod dziczką gruszą / Pokorność moja / I niezgoda moja / Do późnej nocy / O mnie w kości grają*. Pojawia się też wyrzuty sumienia o stopień zachowanej wierności i pamięci korzeni: *Co odpowiem ojcie / kiedy dźwięk kosy / wejdzie w światło traw, kiedy idąc ulicą / spotkam Ciebie* (*Pytania*), tego typu wewnętrzne strapienia dotyczyły całego pokolenia, które zmagало się z nowym światem wartości. Było przywiązane do autentycznych i pewnych relacji, a spotykał je zawód, propagandowa manipulacja, sięgająca aż w sferę intymną ludzka przewrotność. Tu też tak jest. Taka bolesna świadomość nie omijała i Łazuki, czytam w wierszu *Do matki*: *Po nas Matko wszystko przeminie, przyjdzie czas i zgaśnie światło*. Czy pomylił się w swej diagnozie poeta? Sądzę, że niewiele. Jednak tym niepokojom i rozdźwiękowi towarzyszyła też fascynacja poetyckimi wtajemniczeniami i znajomościami, które w mieście zostały zdobyte. Stanowiły jednak jakąś szansę. Przyczyniły się bowiem do realizacji powołania. Wiersze poświęcone np. Zdzisławowi Morawskiemu i innym niech o tym świadczą.

Trzeci nurt dotyczy szerokiej fascynacji, niemal bezgranicznej i nieustannie powracającej natury, wszelkich jej przejawów, zjawisk, chwil, olśniewających momentów, sensów lirycznych, licznych obrazów rzeki Drawy. Ciągłe obrazowanie, a mówiąc słowami poety: „czytanie” z natury ma tu miejsce. Bez afirmacji ta poezja nie mogłaby istnieć. W tomach najnowszych jest ona wzbogacana o refleksje natury ogól-

niejszej, dotyczy losu i sensu życia. Oczywiście refleksje mają znamiona uogólnień filozoficznych, metafizycznych. Te dochodzą do głosu. Kreślone są z perspektywy człowieka, który już wiele w życiu doznał. Przeszedł, przemyślał. Wie, co ważne i blahe: *Zmierzch / gęstnieje / z chwili / na chwilę / a co jest dalej / Co...?* To pytanie natury metafizycznej. Towarzyszy mu upewnienie się w pojmowaniu poezji jako dziedziny głosu ściśle wewnętrznego, poezja *mieszka w ciszy*.

To są głównie nurty jego poetyckiej drogi. To są doświadczenia i tematy poetyckie Władysława Łazuki. Ale, proszę państwa, nie same tematy, czyli treść, choć to ma też znaczenie, nie ona wyłącznie decyduje o wartości poezji Władysława Łazuki. Tym, co tu wysoko wyznacza jej wartość, jest poziom osiągniętej formy, sztuka wyrazu, czyli język, którym poeta się posługuje. Przede wszystkim czuje się, że wypowiedź poetycka jest zawsze zgodna z doświadczeniem podmiotowym. Osiągnął Łazuka piękną spójność oraz harmonię pomiędzy tokiem mowy a otaczającym światem. Dojrzałość słowa



Foto: Elżbieta Lipińska

Na zdjęciu od lewej: aktor Miroslaw Kupiec, Szanowny Jubilat i autor laudacji Czesław Sobkowiak

poetyckiego polega na tym, że nie nadkłada się ono nadmiernie na życie i istnienie, a właściwie ono głównie nadąża i współbieżnie z nim, chcąc je odzwierciedlić, zatrzymać, zaznaczyć jego ślad. Uzyskuje przez tę cechę ta poezja wysoki walor realności. Jest bowiem ściśle w istnieniu wtopiona. Przy tym bardzo to nostalgiczny język, niekiedy zbliżony do subtelnej opowieści, nieufający nadmiarowi znaczeniowemu, a raczej nacechowany zwięzłością, przez co poetyckie słowo staje się właśnie dobitne. Po chłopsku – powiedziałbym – prawdziwe i mocne. Bogato wyposażone w sensualność. Potrafi poeta świetnie snuć opowieść, malować krajobraz, liczne widoki pól, łąk, lasów, jezior oraz swojego miasta i zarazem nie popada w egotyzm, czyli nie eksponuje na pierwszym planie samego siebie. W wielu wierszach odnajdujemy niebanalną grę napięć pomiędzy tym, co wypowiedziane, i objęte milczeniem, czyli po Norwidowsku niedopowiedziane. Ta gra z milczeniem często ma miejsce. Tak postępować może tylko poeta dojrzały, mądry, któremu niekiedy musi wystarczać kilka słów, wiedzący, że wobec kosmosu istnienia cokolwiek byśmy nie powiedzieli, to będzie zawsze tylko kilka słów.

Z mojej strony o poezji i drodze Władysława Łazuki też tylko tyle, a resztę, tę najważniejszą, niech odnajdą dla siebie jego czytelnicy.

Czesław Sobkowiak

Powie ktoś, że to poezja literackich krajobrazów. Poezja prostych emocji i wzruszeń. Ale czy podobnego wymiaru nie ma japońska poezja haiku? W powodzi skomercjonalizowanej perfekcji, przebiegłości i wyrafinowania sztuki współczesnej nastawionej na bezwzględny oryginalność, w świecie pozornych więzi, naturalna prostota wierszy Łazuki nabiera innego wymiaru. Ujmuje bezpośredniością i czystością intencji. Niczego nie udaje, nie stara się być inna niż jest.

Józef Krzyżanowski - literaturoznawca, krytyk literacki, publicysta, w latach 1983-1993 kierownik redakcji literackiej szczecińskiego Wydawnictwa Glob w recenzji pt. „Dorzecze poezji” o tomikach *Gdzie szybki Drawy bieg* Wyd. Pro Libris Zielona Góra (2008) str.88 oraz *Kilka słów* Wyd. Książkowe IBIS Warszawa (2008) str. 96 („Kurier Szczeciński” 02. 04. 2009, nr 65 oraz miesięcznik kulturalny „Cztery Strony” 2009 nr 7).

MAJ

Ścieżki owadów i mrówek

Ukryte przed wzrokiem
orłów i jastrzębi
zając, mysz i ptak

W splotach korzeni kret
draży światło ciemności

Na wietrze piórko płynie
marszczy się woda w stawie

Smakując soczystość żdźbła
słucham oddechu ziemi
wśród traw gdzie jest inny
świat

* * *

W toni jeziora
drżą okruchy światła
Sieci zarzucone

Noc jest lowcą gwiazd

DZIEWANNA

Leśnych poręb panna
szyję wyciąga ku słońcu
rozgląda się
stroji

Nim zlecą zalotnicy
trzmiele
i każdy na swoją nutę
serenadę zagra
w umizgach
ona będzie się dąsać
cała w żółciach
zieleniach i płasach
Wyniosła
do zachodu słońca
panna
Dziewanna

* * *

Na tafli jeziora
drży srebrna lawica

Jezioro jest pastwiskiem

Noc pasterzem gwiazd

* * *

W toni jeziora
drży srebrna lawica
Zaczerpnąć wody
w dłonie

To jak sięgnąć gwiazd



Poeta wypatruje wiersza...

BLIŻEJ

Coraz mnie mniej w tamtym ogrodzie
w podwórzu i na pagórku nad rozlewiskiem
gdzie wiosną żabi skrzek
kaczeńce, stokrotki i traw delikatność
gdzie zimą w poślizgach w mróz że uff...
zdzierałem buty, kolana i ręce

Coraz mnie mniej na ścieżkach
i na miedzach wśród kłosów cięższych
o rosę nocy
i w słońcu gdy falują lany
na wietrze pachnącym chlebem

Coraz mnie mniej a cały tam jestem
z każdym dniem bliżej
Linia horyzontu zatacza koło
ogarnia drogę
marzenia i sny

Łucja Fice

EMIGRACJA

Obudziłam się wcześniej nad ranem. Za oknem wrzeszczy dzień.
Żebracy w śmietnikach szukają szczęścia. Sumienie puszek skwierczy.
Zamienią je na złotówki, za które będą gulgotać zimne piwo, jak mleko koty.
Teraz lażą po dachach, przeciągają leniwie grzbiety. Ja też jak kotka
przeciągam się i gapię na puste łóżko, z którego wyemigrował mężczyzna.

Kiedyś drzałeś, brzęczałeś, syczałeś do ucha, strojnie, w świetle nocnej lampki.
Ja lepiłam się do twoich skrzydeł, trzepotałam, coraz szybciej do wtóru tobie.
Kiedyś miałaś własne Credo: objaśniać świat, z którym gra się w szachy.
W puchu twoich słów zasypiałam. Budziłeś mnie dreszczami pocałunków.

Teraz na pocałunek czekają głuche telefony. Każdego ranka wstaję opętana
snami, w których znowu trzepoczesz, brzęczysz, syczysz do ucha.
Naga stoję przy oknie, przeciągam grzbiet i piszczę jak kotka w marcu.
Gapię się na żebraka, który wyemigrował na śmietnik i dusi sumienie puszek.

WSPOMNIENIA

Wróciłam z dalekiej emigracji
Daleka nawet sobie
Wciąż na jawie śnię długie korytarze
I za oknami walijskiego Care Home pulsujące morze
Przywiozłam bagaż zwyczajnych losów
Tam zostawiłam mój cień, co wszechobecny
Wciąż odwiedza pokoje, które ani piekłem ani niebem

W snach
Śmierć sypie spopielonym piaskiem
W oczy, w których obraz ciała i kości przesuwają cisza
Czas zapomnieć cierpienie
Rozrzucić pył zdarzeń za okno na zieloną trawę
I prosić Boga o nie zatrzymywanie serc
Które biją w ziarenku Czasu

Beata Patrycja Klary

BEZ KOMENTARZA

Wyją na dworcach i w zadłużonych szpitalach.
Wiedzą o złośliwych z tendencją do
przemieszczania.

W pracy nie wolno im płakać, rozdają cukierki,
grają w klasy, w umrze-przeżyje.
Tampony pełne
skrzepów przemywają spirytusem przez gardło.

Kiedy mają wolne, jak dziwki lgną do mężczyzn,
sącą światło przez delikatność wagin.
O 5:15 wysiadują na parapetach nowe uśmiechy.

Czarne anioły od chorych dzieci.

Zbierają z podłogi rączki i muślinowe główki.
Z nadanymi imionami świeckich kalendarzy
kołyszą po raz ostatni.

Przed ogniem spalarni zaklinają manitu
– bo bieda, bo nie kochał, bo wstyd, bo choroba.
Jak na spowiedzi. Wróżą w ciszy
zapach rumianków.

Żeby nie śnić lykają nembutal.

Czarne anioły od nienarodzonych.

Marek Lobo Wojciechowski

LOOKER

Rzeka mętna jak luska śniętej ryby.
Za mostem chłopczyk o dorosłym wzroku
zebrze na chodniku. Kościół wypełniają zwiędłe
kobiety. Główny nurt ulic tłoczy falę
nowoobudzonych; pełzną w poszukiwaniu
adresu.

Wszystko jest w jego oczach,
gdy wraca wieczorem. Drzwi,
światło, klucz na dwa razy,
pokój: sprzęty są spokojne.
Niepokój idzie z zewnątrz.
I szukanie znaków. A niebo,
samo w sobie, jest znakiem na niebie.

Ile to lat? Od czego? Ten, który pyta,
jest słuchaczem.

Irena Zielińska

MALARSTWO

Nie mogę,
a próbuję przetrząsać soczyste
pejzaże, wyzbyte z pierwotnych kolorów
powietrzne ściany przebijam
głową

W kołysce domu
wychylonego płytko poza granicę rysunku
kolczastego czasu
gdzie matka jeszcze żywa, z płatków czarnej,
holenderskiej róży układa
kolaż

jest taka cicha
że tylko cieniem ją wmalować w tło
jak płacze

Tęsknię do
diamentową nicią wyszytego na horyzoncie
jej uśmiechu,
do wysp koralowych dzieciństwa
zatopionych,
do mydlanych wydmuszek,
co w ustach pękają jak tęczujące trzmielce,
do zabandażowanych pod cienką tkaniną skóry
dotyków

Jestem dzieckiem
po psychicznej amputacji rąk
i dróg nawiniętych na wrzeczona
wiatru

Samotne obrazy wędrują
w przedbarwność
zaoczną

Anna Żłobińska

HAIKU

* * *

* * *

Sady znów kwitną
już pora dojrzewania
zapachy raj

Idzie na burzę
jaskółka uwięziona
kwilą pisklęta

* * *

* * *

Słoneczny promień
okałeczony pejzaż
jałowa ziemia

Dzień noc dzień i noc
papużki nierozłączki
prawo natury

* * *

* * *

Zgrzybiałe morze
wyschnięte oczy ryby
patrzają żałośnie

Ulewne deszcze
rozmyły dywan tkany
złotą jesienią

Alicja Łukasik

PIOSENKA NA POŻEGNANIE

Odejdę, lecz zostawię po sobie koszule
wyprasowane w kostki, sterylny porządek,
zupełnie jakbym nigdy się tu nie pojawił.

Postaram się zostawić wszystko w idealnym
stanie, żeby robiło wrażenie nowego
i nienaruszonego, jak przed moim przyjściem.

Przestaną mnie obchodzić zegarki, z którymi
byłem dotychczas bardzo związany. Odejdę,
jednak nadal pamiętam, że kobiety, które
dotąd wielbiłem staną się zbyt obce, żebym
mógł je dotknąć

(właściwie to ja będę obcym,
nieznajomym, któremu nie wolno niczego
dotykać).

I koszule przestaną należeć
do mnie, i ktoś odnajdzie w nich znajomy zapach.

POZOSTAŁOŚCI

Zachowanie pionowej postawy stanowi dla ścian
największą trudność - równowagi za grosz.

Nawet tynk przestał trzymać, a wewnątrz budynku,
w pomieszczeniu, z którego wynoszą nas zdarte schody,

powstają nowe legendy, bo człowiek zobaczył
lub usłyszał albo niedosłyszał właśnie

i uzupełnia luki. Opuszczone rudery
są obiektem zainteresowań dzieci.

Jeśli cofniemy się o kilka przeżyć,
w tym miejscu zobaczymy siebie, pochłoniętych.

POWÓDŹ

Rozlewa się wieczór bez szumu
Józef Czechowicz

Rozlewa się spokojnie, na strony, zapala
napotkane uliczne latarnie i lampy,
zerkające ukradkiem pod łóżka - tam lubią
pomieszkiwać nerwice i obsesje. Pełno

jest skrzypiących przedmiotów budzących się
wczesnym wieczorem.

Powódź płynie od strony przedmieścia,
spokojnie, bez żadnego szumu, rozplywając
po ludziach, po pokojach, wreszcie gasi światła.

Natalia Palczyńska

* * *

pod skórą
bije we mnie ojciec

czterdziestoletni mężczyzna
który nie widział własnego dziecka
ale za to widział wszystko

czasami schodzę w siebie
po drabinie żeber
zaglądam do studni
w której kisi się kokon ojca

o nie! kokon nie leży spokojnie
odbija się oddechem
delikatnym
rytmicznym
jak torsje

GŁĘBIA KOLORU

człowiek oswoił wszystkie kolory
prócz bieli

ta zawsze pozostanie odległą abstrakcją
nieдоступna
jak wartości które symbolizuje

czystość niewinność cnota
– to słowa puste i bezużyteczne
latawce poza zasięgiem
zaciśniętych w górę pięści

biały nie pasuje do tłumu
tłum ma już swoje kolory:
kolor rozpiętej koszuli sztucznych paznokci
bezpąńskiego dziecka

czerwień i purpura
– dumne towarzyszki wysoko urodzonych
sprawne w przewrotach i zrywach
wytłumiają emocje kroki
chłoną sekrety krwi

co innego biel – łatwowna gaduła
nie dość bystra
by pojąć szlachetną istotę skrytobójstwa
czy czcigodną naturę kłamstwa w imię racji stanu

powiedzmy szczerze: jest za słaba
żeby uśmierzyć oddech
zbyt ślamazarna
aby przemycić truciznę
zbyt niezdecydowana
by z zimną krwią przekroczyć próg sypialni

mówią o niej: nieskazitelna
ta pozostanie dla nas wyłącznie czystą abstrakcją
najważniejsze – dystans
...z bliska widać rysy

14.03.2009

* * *

Szósta zero zero. Wstajemy ciężko, jakby za nami były przejścia na granicy chorób, których nie ruszy lekarz pierwszego kontaktu. Albo raczej pamięć. Krawat, spodnie na szelkach.

Szósta dwanaście. Rozmowa przed lustrem, zima. Zima z tych piekielnych, kiedy ratować mogą tylko ciężkie do zapomnienia usta kute w ogniu albo miłość spełniona wczoraj w lesie.

Szósta czterdzieści osiem. Szybka kawa, fajka, kluczyki od golfa. Garaż, odśnieżanie szyb, jeszcze się malujesz, kiedy próbuję przeciąć mgłę lub chociaż odepchnąć ją z drogi. Bez skutku.

Szósta osiemdziesiąt cztery. Jestem spokojny, jakby nie było tu mgły, albo nawet ciebie.

KOŁYSANKA

Po całym dniu starzenia się spójrz na ubrania, zmarszczone powietrzem i ruchem od podszewki. Albo wokół. Po zmroku nawet prąd w ścianach jest zbyt stary, marnieje włącznik za włącznikiem. Śpij.

Odwróć się jeszcze na chwilę, żeby przypomnieć sobie, kiedy kołysałem twoje biodra w rytm dźwięku robót drogowych z pobliskiej ulicy. O tej porze nawet one zmieniają się w szept.

Kiedy poczujesz swobodne zapadanie się w sen, rozchyl lekko nogi, na niewinność. Śpimy. I prąd śpi. Za oknem jabłko spada z jabłoni, spada jabłko z jabłoni. Niezbadane formy

przelotu. Na rogatkach miasta spokój. Teraz nawet cementarni goście są wokół nas. Śpimy.

15.03.2009

Gole ściany, gole poza lustrem, z którego patrzysz na mnie z lekkim zdziwieniem i zaczynasz mówić.

Obserwuję cię od dawna, obecnie trudno nie dostrzec cię w szkle palącego fajkę. Znowu,

po miesiącach spokoju popadasz w ciepłą i bezpieczną depresję, więc teraz nie liczy się nic poza szczegółami. Poza kolorem ścian, śmiercią rosy w ognisku, na polu. Nie ma już

dokąd umrzeć. Bez pszczoł i rosy śmierć byłaby szybsza, ale wracając – nadal patrzysz na mnie. Na tafli szkła ryby przerysowują wodę. Mamo, nie mogę go dłużej pilnować, patrzeć,

jak całuje sznur. Teraz wisi blisko ziemi i mówi o sobie w trzeciej osobie. Patrzy.

16.03.2009

Fortepian i słowa nie mają uczyć podstaw, a pokazać moc drgania w tych odległych miejscach, w których jest nas najmniej – na ósmym piętrze drzewa lub czwartym pod ziemią. Wszędzie,

gdzie śmierć przecinkiem wciska się w tok zdania, jak u Ludwika, który grzebał w radiach, później był grzebany w ziemi garść po garści, albo nawet, kiedy pies łapał mnie przy drzwiach za spodnie przy kostkach, jakby próbował

nie dopuszczać do wyjścia. Tylko przedmioty są cokolwiek warte, im mniej jest życia, tym życie piękniejsze. Więc jest fortepian, jest słowo i koń przeraźliwie rżący na posesji sąsiadów,

pewnie właśnie dzisiaj jego wielki dzień – skończy pracę w rzeźni. Zjemy go słuchając Chopina.

17.03.2009

* * *

Zróbmy coś, póki jesteśmy. Później będziesz ty, wy, ja, wszyscy w dalekiej osobności. Wcześniej było egzekwie albo sierociniec, inne rekwiizyty, chociaż i tak nie ma słów, które

opiszą ten wiersz. Drzewa, na które niedawno wchodziliśmy, dawno są wycięte. Wycięte. Ciebie też pocięli, nim trafiłaś do ciepłej kwatery, którą dawno kupiliście z ojcem.

Nikt was nie odwiedza, nawet ja, chociaż ciągle jesteście codziennie tam, gdzie byliście wcześniej, w ścianach i lustrach. Jest głód w Afryce i święte wojny, sto wyciętych drzew. Sto zawsze brzmi lepiej,

ale nie ma ciebie, więc co mi po tym lesie, kiedy w moim ogrodzie zmarło jedno drzewo.

* * *

Cube'a powinni kręcić na naszym osiedlu. Bryła w bryłę, żadnych szans na przejście. A może wszyscy jesteśmy tchórzami, choćbyśmy mieli jedno wyjście więcej, a i na każdym rogu

żadnych szans na ucieczkę i żadnych na trwanie. Czasem tylko w garści jakaś sensowna styczna, jakiś obiad, książka, orgazm, a przecież w każdym miejscu przecięcie wszystkich prostych wszechświata

jest oczywiste. Coś jest do końca albo nie istnieje. Jak meble po zmarłej, bo to tylko meble, albo bóg, który nie robi nam dobrze do końca. Na naszym osiedlu śmierć nie żyje,

życie nie umiera. Wystarczy zabić nerwy: ciepłem albo zimnem bez ruszania się z bryły.

Każdy z jeży pokryty jest ok. 5 000 kolców... ileż musi ich mieć najeżona oczywistość?

Ogrom kolców i optymizm

Kiedy pojawia się nowa książka poetycka, w sposób, który można nazwać rozgorączkowanym, rzucają się na nią recenzenci, krytycy, znawcy literatury. Oj, mają oni zawsze wiele do powiedzenia o tym co czytają. I owszem, jest to ich prawo i życiowe zadanie. Mnie jednak bardziej interesuje zdanie najzwyczajniejszego czytelnika, prostego odbiorcy, który nie dość, że sam nie popełnił ani jednego tekstu poetyckiego, to i rzadko po poezję sięga. A skoro już sięga, to nie w celu krytyki, a umilenia sobie życia, spotkania z czymś elitarnym, z czymś niezwykłym przez to, że niecodziennym w jego życiu. Zdanie czytelnika daleko jest dla mnie ważniejszym i bardzo się na nie wyczulam. Tak jak w przypadku jednej z ostatnich rozmów nad wierszami Marii Borcz z najnowszej książki „Najeżona oczywistość”. To książka, w której autorka prezentuje swoją wrażliwość, swoje widzenie świata. Jako osoba religijna wiele miejsca w jej wierszach zajmuje Bóg, postaci biblijne, cytaty z Biblii. Maria pisze o tym co zna, o tym co wie. Dzięki jej zaangażowaniu w wiarę – jest autentyczna, nie oszukuje czytelnika. Jest w stanie swoją wiedzę zaprezentować i wykorzystać dla efektu, którym wielokrotnie jest sarkastyczna ocena świata i ludzkiej w nim kondycji.

Borcz używa manierycznie słów, które w Biblii są nader częste. Jej słownictwo jest dobitne, jednoznaczne, mocne. To słowa twarde, bolesne, pozbawione metafor i niuansów: „prawda, cierpienie, potwarz, oziębłość, demony, gniew”, a jednocześnie słowa dostosowane do podmiotu lirycznego, skoro w kilku wierszach podmiotem są dzieci. Dzieci doświadczone przez los, bezdomne, pozbawione rodziny, przyjaciół, uczuć delikatnych i najczulszych. Dzieci mówią prawdę w prawdziwy sposób: „nie lubię jej / chce zastąpić mamę”, „Chrzanisz! Stuknęła osiemnasta [...] Moi starzy? Zapomnij”, „miłość wkurza”. I to właśnie najbardziej dotarło do rozmówczyni, o której wspomniałam. Zwykła kobieta przeczytała te wiersze z zaciekawieniem. Język sprawił jej przyjemność dzięki swej zrozumiałości. Metafory, zwłaszcza zawile i erudycyjne, uważa ona za niezrozumiałe dla siebie. Nie wstydzi się tego, gdyż przy swoim wyższym wykształceniu nie odczuwa konieczności rozumienia pokrętności, do jakiej skłonni są poeci. Czytelnik wiersze Marii Borcz rozumie. To wielki atut. Rozumie i chce je czytać, bo odnajduje w nich trafność prostego ocenienia sytuacji, trafność doboru słów o jednoznacznej kolorystyce.

Sam tytuł perfekcyjnie oddaje treść książki, gdyż Borcz w swej wrażliwości jest najeżona, napięta, zdenerwowana tym, co w życiu dostrzeżę, zwłaszcza ludzką krzywdą i niesprawiedliwością. Rzeczywistość bohaterów jej książki jest także najeżona, jest boląca, kłuje – kolców jest w niej ogrom, a najgorsze z nich to osamotnienie, obojętność, oziębłość, gniew, strach, powierzchowność, nietolerancja, zaskorupiałe poglądy, kłamstwo, miernota, przeciętność, chamstwo. Ale przecież to wszystko jest oczywistością. Świat taki właśnie jest i niewiele możemy na to poradzić, chyba, że zaczniemy od własnego podwórka.



Co ciekawe, okładka z motywem sympatycznego jeża wśród nasyczonej zielenią trawy tchnie optymizmem, bo autorka jest osobą z nadzieją patrzącą na świat, często uśmiechniętą i bardzo życzliwą.

Oczywiście Maria popełnia jeszcze błędy natury warsztatowej, zwłaszcza omsknąć jej się potrafią kiepskie rymy, frazy nie do końca poprawne, gramatyczne braki. Ale to jest już zupełnie mniejsza niedokładność niż występowała w jej pierwszej książce „Tęczowa zabawa”. Drugi tomik jest bardziej dopracowany, ma ciekawiej wyeksponowane części – zwłaszcza dział: Pajacyki – przykuwa uwagę. Dwie całkiem zgrabne grafiki pomieszczone w tej książce, autorstwa Barbary Latoszek, dodają uroku tworząc spójną całość. Kto jest ciekawy, co napisała w posłowniu uznana już pani krytyk – Anna Kajtochowa z Krakowa, niech zajrzy do książki. Kto jest ciekawy najeżenia rzeczywistości każdego z nas – musi spojrzeć na tę książkę. Zachęcam.

Beata Patrycja Klary

Maria Borcz

ROZMOWA Z MŁODZIEŃCEM

„Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący.” (1 Kor)

**Chrzanisz!
Stuknęła osiemnastka.
Jutro żegnam Dom Dziecka
i pana Mietka.
Moi starzy? Zapomnij –
dawno mnie skasowali.
Jestem sam.
Jak cymbał?
Niby kogo miałbym kochać?**

Z OŚRODKA

**Jesteśmy jak liście
spadające z drzew
nikomu niepotrzebne
więc
wymieciono nas
na ognisko
wychowawcze**

Z SIEROCIŃCA

**pani Zosia wdzięczy się
daje smakołyki
broni głaszczę

nie lubię jej
ona myśli
że zastąpi mamę**

Kazimierz Rink

MODLITWY, EPIFANIE,
WYZNANIA, OPOWIEŚCI...

Gdyby wyluskać samo sedno „Postscriptum”, jakim Anna Kajtochowa opatruje „Najeżoną oczywistość”, nowy, kolejny tomik wierszy Marii Borecz, można by to ująć tak: poetycka relacja z codzienności z wpisaniem weń kanonem odwiecznych, a rozpadających się na naszych oczach wartości. Nie tylko tych chrześcijańskich zresztą i usytuowanych na najwyższych z półek spośród nich im pokrewnych. I to jakby pierwsza z „oczywistych oczywistości”, której w tym akurat przypadku podważyć nie sposób. Choć muszę się od razu przyznać się do rzeczy z powinnością recenzenta niewiele raczej mającej wspólnego. Kiedy wziętem do ręki „Tęczową zabawę”, poprzedni i debiutancki zarazem tomik autorki, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że dystans i daleko posunięty sceptycyzm oddzieliły mnie najwyraźniej od lirycznej materii pomieszczonych tam tekstów. Może dlatego, iż wydały mi się nazbyt zanurzone w tym, z czego poezja zwierza się od stuleci, a czego obrazu ani nie odmienia, ani w żaden sposób nie próbuje odwołać się do – tak często akcentowanej przez Miłosza – d y k c j i n o w e j. Przełomem miała okazać się poetycka lekcja w liceum w Sulęcinie, w trakcie której poetka czytała swoje wiersze z takim niewzruszonym wewnętrznym spokojem, ugruntowaną pewnością każdego z artykułowanych wersów, że młoda i cokolwiek nieufna generacja odbiorców natychmiast je przyjmowała. Więcej nawet; momentalnie jakby się z nimi utożsamiała. Te wiersze zdawały się padać niczym krople ożywczego deszczu na wyjątkowo podatny grunt. I było nieledwie tak jak w głośnym i tylekroć przywoływanym wierszu Szymborskiej:

*Nie być bokserem, być poetą
mieć wyrok skazujący na ciężkie
norwidy,
z braku muskulatury demonstrować
światu
przyszłą lekturę szkolną*

Liryka Marii Borecz w prostej linii utrwała i zachowuje wszelkie cechy osobowościowe jej autorki. Z całym, subtelnie poróżnicowanym spektrum dociekliwości wobec przedstawianego świata, ironicznego spojrzenia na jego wynaturzony często porządek a jednocześnie woli konstruktywnego scalania „nieposkładanych wątków”, odwołań do sfery sacrum i moralnej, częściej jeszcze moralizatorskiej refleksji. Przynajmniej w planie dotyczącym obszaru poetyckich zainteresowań i na swój sposób legitymizujących ten rodzaj niepokojów i poszukiwań w kategorii słowa. Uderzająca bywa sama konsekwencja, wierność postawy wobec nieustannego samookreślenia się i konieczności dokonywania wyborów w świecie organicznego Zła wystawianego na pokusy ułudnie i pozornie tylko domniemanego Dobra. Na podobieństwo kojarzonej mimowolnie z piosenką Jacka Kaczmarskiego wojny Postu z Karnawałem.

Nie bez znaczenia pozostaje tu fakt, iż sama oczywistość wyjęta z sarkastycznego kontekstu - ulubionych „zwischenrufów” popularnego polityka, nabiera szczególnej wieloznaczności semantycznej. Jeśli bowiem to, co oczywiste podlega „najeżeniu” – o c z y w i s t y m z wielu powodów być przestaje. Hipoteza owa wyklada się nader klarownie już w otwierającym książkę cyklu „Pajacyki?”. To cykl liryk skrojony

wg optymalnych, podszytych pedagogiką odwzorowań, a eksponujący wątek dramatu zburzonego dzieciństwa, tzw. dzieci nieczyli skazanych tyleż na pastwę losu, co instytucjonalne „miłosierdzie gminy”. Poeci z kręgu braci RSTK-owskiej ten akurat leitmotiv od lat poddają nieustannej obróbce i – co tu kryć – rzadko zbliżają się do prawd zdolnych konkurować z przysłowiowym odkrywaniem Ameryki. Formuła operowania słowem programowo przegrywa z poetyką właściwą obrazowi filmowemu. A kto choć raz obejrzał „Czerwone pończochy” czy „Nie będę cię kochać” mistrza tego gatunku Janusza Nasfetera, wie jak trudno o „nieoczywistość” tam, gdzie oczywiste zaświadcza o sobie i dookreśla się samo.

Tymczasem Marii Borecz udało się sztuka niewiarygodnie trudna; odpatetyzowania tematu, zdjęcia go z oprawionego w szablon koturnu i pójścia w stronę uczuć i wzruszeń zdefiniowanych najprościej:

*by wiatr
nie targał po rynsztokach
zgrabiono nas na ognisko
wychowawcze
(„w ośrodku”)*

Cykl „Życie; jak morze, jak sen...” zdaje się być szczególnym, wszelkiej dostępnej muzom wierszopochodnym (Euterpe i Kaliopie trochę tu jakby przycichły) pomieszaniem. Ale niespecjalnie przeszkadza to w jego czynnej lekturze. Bo ta przemienność opcji, tonacji, nastawień, ujęć i preferencji ma i swój także niezaprzeczalny urok. To opowieść o naszym zagubieniu na źle czasem oznakowanych szlakach codzienności, o bólu i niezawinionym często cierpieniu, o samotności, uciszaniu rozpachy, dojmującej pojedynczości w anonimowym, ulicznym tłumie. Najbardziej przemawiają do mnie osobiste, modlitewne skargi, a może raczej wyznania-rozmowy z – jak to ujmuje ks. Jan Twardowski – Niewidzialnym;

*dopiero
gdy rozum pogasi pożary
usłyszysz
pozorne milczenie Boga
(„refleksja”)*

Powiedzmy wprost; ilekroć udaje się poetce wychodzić poza werbalne konstatacje i kolokwialne zauważenia, tylekroć pojawiają się wiersze o niebagatelnym ładunku egzystencjalnego dyskomfortu, z dyskretnym odcieniem metafizyki w tle, jak np. w „osaczonych”, bodaj najlepszym wierszu „Najeżonej oczywistości”:

*Przedzieramy się przez dżunglę
Intryg czepiających się jak rzep.
Wystrzępione języki listowia
Spotwarzają.
Karczujemy drogę.*

W innym, zatytułowanym „W oczekiwaniu”; wyznaje wprost;

*w oczekiwaniu na paschę
jak Hiob cierpliwością opatruję rany
i Tobie powierzam
dramat egzystencji*

Szkoda, że ów „dramat egzystencji” tak rzadko osiąga lub wznosi się na wysokość pułapu właściwego „Lękowi”, jednemu z najbardziej lakonicznych i poruszających wierszy ks. Janusza St. Pasierba: *bala się wyjść z muzeum/ tu jeszcze była kimś/ osobą zwiedzającą muzeum/ miała bilet/ a na ulicy*

Za to słowa, które dawno, co gorsza bezpowrotnie, pozniły z katalogu tych, którymi jeszcze odważają się posługiwać współcześni poeci, jak: tolerancja, prawda, lojalność, honor, sumienie, człowieczeństwo, wolność czy nadzieja – u Marii Borcz pojawiają się niemal na zawołanie. Być może dlatego, iż odważnie próbuje reaktować model doszczętnie dziś zapoznanej poezji obywatelskiej. W jej klasycznym, rzadko już stosowanym znaczeniu. Bo ten zwykliśmy uznawać za naiwnie nieatrakcyjny i do wybrzmiewania na peryferiach – tzw. literatury prawdziwej. W „Najeżonej...” nieoczekiwanie, to teren prawdziwego wysypu perełek spod znaku satyrycznych wtajemniczeń i pasji autorki. Bawi się więc pastiszem, parodią, ciętym pamfletem, rubaszną fraszką i przypisanym jej za każdym razem naturalnym darem mikroobserwacji. Co wcale nie musi klócić się z odrobiną przymrużonego w stronę czytelnika oka i autoironicznej wolty;

*Żywiol
pcha szalupę
nie wiem dokąd
w ciemno*

*ja nie walczę z czasem
to czas walczy ze mną
(„batalia”)*

Czasem aż chciałoby się postawić pytanie: czy niezbyt skomplikowana topografia języka, jaki preferuje Borcz, okazuje się aby wystarczająco pojemna i adekwatna dla aspiracji, przesłań i ciężaru gatunkowego tych często-gęsto rozpisanych na ezopową mowę wierszy? Pewnie sama autorka nie przywiązuje do tego większego znaczenia, wszak stawia na formułę skondensowanego do maksimum komunikatu, bez zbędnej otoczki słownej. I pewnie słusznie. A jednak trudno nie popaść w umiarkowany nawet niedosyt, gdy w materii wersetów – tak rzadko pojawiają się pojęcia w rodzaju: „w skale powierzchowności”, „daleko poza granice sumienia”, „języki listowia spotwarzają”, „uskrzydłone pobożnymi życzeniami” czy „zgrabiono nas na ognisko”.

A przecież rzeczona książka jako całość najwyraźniej na tym zyskuje. Prowokuje, podsycza, intryguje naszą, potencjalnych adresatów tych tekstów, wyobraźnię. Ryzyko okazuje się więc nieledwie minimalne. Tymczasem nawet ostrożne operowanie metaforą wydaje się ponad miarę onieśmielone respektem wobec możliwości wzbogacenia strofy. Niewykluczone, że w kolejnym, trzecim już poetyckim wcieleniu będzie to jedna z jaśniejszych stron tej poezji. Reasumując; Maria Borcz należy do nurtu poetek uchodzących za spolegliwie zakrzątane szafarki wzniesianego w domowym zaciszu słowa. Uroda jej skromnych, ascetycznych wierszy „zwinięta w kokonie przetrwa mroźne chwile” i „zachowa człowieczeństwo”. Z pozoru niewiele, w gruncie rzeczy na tyle dużo, że prawie wszystko.

Kazimierz Rink

Krystyna Kamińska

HANNA CIEPIELA „ZARAZ WRACAM”



Książka nosi tytuł „Zaraz wracam”, a jej bohaterami są ludzie już zmarli. Paradoks? Nie. Hanna Ciepiela napisała książkę o gorzowskich artystach upamiętnionych po śmierci plaketami w Alei Gwiazd na Starym Rynku. Tak uhonorowani zostali: plastycy – Jan Korcz, Wiesław Strebejko, Andrzej Gordon, Bolesław Kowalski, Henryka Żbik-Nierubiec, Mieczysław Rzeszewski i Michał Puklicz; literaci Irena Dowgielewicz i Zdzisław Morawski; fotograficy Waldemar Kućko i Jerzy Szalbierz

oraz architekt Hieronim Świerczyński. Tylko Jerzy Szalbierz urodził się w Gorzowie. Jedenastu do Gorzowa dotarło z różnych stron i z różnych powodów. Pozostali tu także najczęściej za sprawą przypadku. A przecież pod koniec życia każdy z nich śmiało podpisałby się pod słowami Ireny Dowgielewicz: „Ja to miasto naprawdę kocham”.

Pokochali je takim, jakim było w latach 50. i 60. Ze zniszczonym centrum, potem odbudowanym w fatalnej koncepcji, z jego wiecznym piętnem pokrzywdzenia przez Zieloną Górę, która odebrała mu wojewódzki splendor, z nałożoną przez władzę pieczęcią miasta robotniczego, w którym kultura miała drugorzędne znaczenie. Z tego niedowartościowania, a jednocześnie z naturalnej potrzeby artystycznej konsolidacji, zrodził się „stolik nr 1”, przy którym miała swoje miejsce większość obecnych w dzisiejszej Alei Gwiazd. Pozornie było to tylko miejsce spotkań na poranną kawę, najpierw w „Letniej”, potem – najdłużej – w klubie Międzynarodowej Prasy i Książki (dziś Empik), a na finiszu w klubie „Lamus”. Naprawdę tam rodziły się najważniejsze dla gorzowskiej kultury instytucje i zdarzenia, tam rodził się Gorzów jako miejsce dobre dla artystów, tam rodziła się legenda miasta.

Z roku na rok coraz więcej Gorzowa było w ich dokonaniach artystycznych. Morawski pisał o sobie jako jeszcze nie właścicielu, a dzierżawcy miasta. Szalbierz za najważniejszą dla zdjęć na początku wybrał szopkę na swoim podwórku, ale potem pokazywał miejskie włązy do studzienek i bezimienne mogiły na cmentarzu przy szpitalu psychiatrycznym, nadając jednym i drugim walor uniwersalnego symbolu. Kućko od początku był kronikarzem miasta. Nie sposób zliczyć obrazów, na których Jan Korcz umieścił większy lub mniejszy fragment gorzowskiego pejzażu. Swoją świetną kreską rysował budynki Gorzowa Andrzej Gordon, zawsze przewrotnie dodając rogatego diabełka. Choć każdy z nich nosił w sercu inną swoją małą ojczyznę, tę drugą, gorzowską, przyjęli za swoją najbliższą. Miastu wcale nie pięknemu, miastu z obcymi im korzeniami, oddali swoją sztukę. Spowodowali, że tysiące innych mieszkańców Gorzowa, utożsamiając się z dziełami tu zrodzonymi, szybciej i głębiej zapuściło korzenie.

To prawda: nie zdobyli światowej sławy. Niektórzy na pewno zyskaliby większy rozgłos, gdyby mieszkali w stolicy, bo talent i potencjał twórczy ich do tego uprawniał. Ale wybrali Gorzów i naszemu miastu

oddali swoją sztukę. Od dawna trwa spór, czy ważniejsze to, co uniwersalne, czy to, co regionalne. Dawniej wydawało się, że uniwersalizm. Teraz, w dobie koszmarniej globalizacji, właśnie regionalność, albo jeszcze bliżej – lokalność – okazuje się wartością priorytetową. Bo artystę kształtuje to, co bierze ze swojej najbliższej małej ojczyzny, a najważniejszymi odbiorcami są ludzie z nią związani. A oni dali nam bardzo wiele. Oni tu ciągle są. Potwierdzaj to ich liczne zdjęcia włączone do książki.

Książkę Hanny Ciepeli „Zaraz wracam” wydał Klub Myśli Twórczej „Lamus”, klub który był miejscem ich spotkań, sporów i wspólnych radości.

Książka, której już nie ma

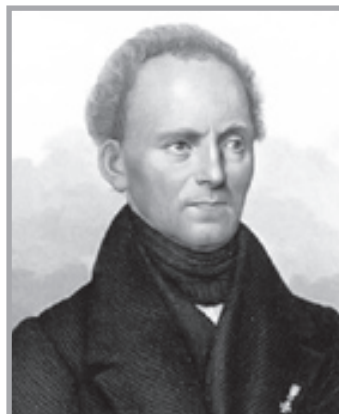
**ZNAMIENTOŚCI LANDSBERGU
– JOSEPH I WALDEMAR NÜRNBERGEROWIE**

Mnożą się teraz publikacje wydane przy wsparciu różnych funduszy, które zabraniają sprzedaży, a oznacza to, że książka, choć wydana, nie istnieje na rynku. Ta, o której za chwilę, wydana została w nakładzie stu (tak, naprawdę), stu egzemplarzy i rozdana uczestnikom konferencji naukowej. Ilu z nich wrzuciło ją na dno szuflady lub nawet do kosza? Natomiast dla bardzo wielu zainteresowanych byłaby ona perłą w księgozbiornie, ale jej dostać nie można. Wydał ją Urząd Miasta w Gorzowie i przede wszystkim pod jego adresem kieruję mój apel o dodruk książki „Znamienitości Landsbergu – Joseph i Waldemar Nürnbergerowie”.



Na rogu ulic Łokietka i Drzymały, a więc w centrum obecnego Gorzowa, przed blisko dwustu laty wybudował dom dla swojej rodziny pan Joseph Emil Nürnberger, naddirektor poczty królewskiej. Dom stał wtedy daleko za murami miejskimi, na stoku zbocza, w sąsiedztwie Kłodawki. Nadano mu nazwę „Zacisze”. Ten duży, jednopiętrowy, przysadzisty budynek stoi nadal i jest jednym z najstarszych zachowanych domów mieszkalnych. Związani z nim byli dwaj panowie: ojciec i syn, obaj literaci. Choć szalenie od siebie różni, są dziś reprezentatywni dla czasów, w których żyli.

Ojciec – Joseph Emil Nürnberger - jak całe niemieckie mieszczaństwo, po okresie wojen napoleońskich, tęsknił do spokoju, życia uładowanego, zrównoważonego. Stąd to „Zacisze” na skraju miasta, stąd



Joseph Emil Nürnberger



Waldemar Nürnberger

jego oddawania się nauce, szerokie zainteresowania humanistyczne, pogłębianie wiedzy o starożytności. Natomiast jego syn Waldemar prezentował poglądy całkowicie odmienne. Trzeba najpierw podkreślić, że był lekarzem zatrudnionym przez miasto jako lekarz ludności ubogiej. Stykał się więc z tym, co najgorsze i najtrudniejsze do przewyciężenia. Zapewne jego poglądy wyrosły z takich doświadczeń, ale także z przemyśleń. Nie ucieleśniły się idylliczne marzenia ojca o spokojnym szczęściu, trzeba więc spojrzeć na życie jako na ciąg zdarzeń i sił pchających człowieka w otchłań. Taki czarny i zmierzwiiony świat zaludnia Waldemar Nürnberger bohaterami swoich nowel i powieści wydawanych pod pseudonimem Solitaire.

Dorobkiem ojca i syna zajął się młody naukowiec z Berlina Martin Volker w pracy habilitacyjnej. Jego referat pod tytułem „Zastój i uwolniona siła” był głównym tematem sesji naukowej poświęconej Nürnbergerom i tym samym jest głównym rozdziałem książki. Próbkę stylu obu panów dają ich prace: „Opisanie Landsbergu nad Wartą z roku 1819” Josefa oraz romanza „Pieśń o pani Warcie” Waldemara. Obszernym dopełnieniem tematu był referat Dietricha Handta zatytułowany skromnie „Landsberg nad Wartą w XIX wieku”. Jest to w istocie historia miasta w latach życia tu bohaterów - od 1801 do 1869 r. - czyli w przededniu wielkich przemian, które z miasta rzemieślniczego stworzyły Landsberg przemysłowy. Bardzo ciekawy to rozdział książki, mający wartość także samoistną. Książka zawiera też szeroką informację o losach „Zacisza” do dziś, pióra Roberta Piotrkowskiego, redaktora książki i tłumacza, bo rzecz jest w dwóch językach. Treść wzbogacono wieloma starymi zdjęciami, które podnoszą wartość tej książki. Niestety, kupić jej nie można. Na pocieszenie: jest dostępna w dziale regionalnym WiMBP.



Dom Nürnbergerów „Zacisze” – od frontu, przed wojną

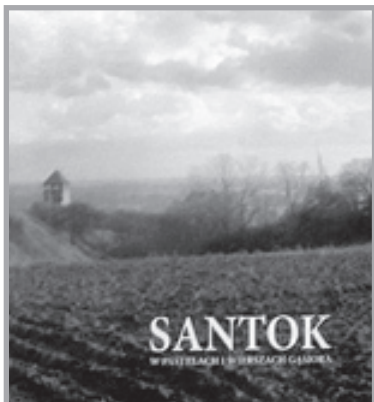


Dom Nürnbergerów „Zacisze” – od podwórka, stan obecny

SANTOK

W PASTELACH I WIERSZACH GĄSIORA

Bardzo ładna jest książka pt. „Santok” zawierająca wiersze i obrazy Jerzego Gąsiorka. Duży format, gruby, kredowy papier, pełen kolor – zachęcają do obejrzenia i przeczytania. Trzy słowa dla tych, którzy nie byli w Santoku: To duża wieś pod Gorzowem rozłożona na wąskim pasie ziemi między Wartą a wzgórzami morenowymi schodzącymi do rzeki. Na zboczu jednego ze wzgórz w latach 30. minionego wieku zbudowano kamienną wieżę, która miała udawać średniowieczną. Właścicielem tej wieży jest teraz Jerzy Gąsiorek – plastyk i poeta. Urządził w niej sobie dom pracy twórczej. Z wysoka ma wspaniały widok na połączenie Warty i Noteci, na rozlewiska, cudownie ukształtowany teren i przyrodę, która zmienia się wraz z porami roku. Z takiej naturalnej inspiracji powstały jego wiersze i pastele.



Książkę otwiera dwuwiersz autora: *Zaiste musiał być Pan Bóg w dobrym humorze / kiedy Santok kreślił w swojej mądrej głowie.* I dalej od wiosny po zimę o urokach całego tamtejszego świata lub po prostu gałązki, która właśnie rozkwita. O urokach świata można nieskończenie, rzecz tylko, jak zostanie opisane to, co autor widzi. Gąsiorek – jak przystało na plastyka – patrzy na świat przez pryzmat sztuki. Tu na wyciągnięcie ręki ma wszystko, czym zachwycali się wielcy malarze: *Oto wiersz „Impresja santocka” Latem w Santoku / chmury Pissara nad polami / zboża dojrzałe / nurzają się w słońcu / jak na obrazach van Gogha / rzeka skrzy się barwami Sisleya / daremnie wypatruję cezannowskie / kapiące się panny.*

Nie tylko pejzaże są w Santoku ważne. Także ludzie i ich dokonania, szczególnie architektoniczne. Jerzy Gąsiorek wielokrotnie zwracał uwagę na niszczenie krajobrazu miejskiego w Gorzowie, teraz – wiejskiego w Santoku. Na przykład dworca kolejowego, który niegdyś był oknem na świat całej miejscowości. Jego wiersz „Santok dzisiaj” jest po prostu smutny:

*Na brzegu wysokim domy
wystrojone w sajding
obory i stodoły opustoszałe
grają przeciągami
mniej barek na rzece
pociągów na torach
mniej w gniazdach bocianów
i drzew przy drogach
mniej mego zachwyty
za to złości więcej
że dawnego piękna
nie umiem zatrzymać*

Mimo to „Santok” jest książką o pięknie, o urodzie świata widzianego przez człowieka mądrego i wrażliwego. Dla mnie

odkrywa ona kolejne oblicze Gąsiorka-plastyka. Do tej pory zajmował się wystawiennictwem, architekturą wnętrz, specjalizował się w assamblażach, w których nową treść nadawał przedmiotom codziennego użytku. Tu po raz pierwszy widzę nagromadzenie jego rysunków, pastel. I to pięknych pastel i z subtelną kolorystyką.

Tom zamyka wiersz o pożegnaniu autora ze światem. Przejmujący. Nie będę go tu cytować i bardzo proszę autora, żeby jak najdłużej nie dawał nam okazji do cytowania. Ja z tego tomu zapamiętałam metaforę niezwykle prostą, a jakże ujmującą: *O wiosnie: Dotarła wiosna, bociany ją przywiodły, czy ona bociany, nie wiem.*

Książkę sfinansowała gmina Santok oraz Fundacja Ochrony Przyrody i Dóbr Historycznych Ziemi Santockiej. Szkoda, że przy wcale niemałych nakładach, jakich wymaga takie wydanie, książka nie ma grzbietu, a jest szyta spinaczem, jak zeszyt w kratkę, nie ma numeru ISBN, a tym samym nie wchodzi do światowego obiegu katalogowego, nie ma przyzwoitej strony tytułowej, a więc nazwisko autora wierszy i rysunków nie jest odpowiednio wyeksponowane.

Santok w pastelach i wierszach Gąsiorka. Gorzów str. 60; Książkę sfinansowała gmina Santok oraz Fundacja Ochrony Przyrody i Dóbr Historycznych Ziemi Santockiej.

Lubuski Wawrzyn Naukowy dla historyka ze Szczecina



Lubuski Wawrzyn Naukowy za 2008 r. otrzymała książka Radosława Skryckiego „Dzieje kartografii Nowej Marchii do końca XVIII wieku”. Jej wydawcą jest Wydawnictwo DiG z Warszawy.

Spróbujmy przywołać w pamięci dowolną współczesną mapę. Ileż na niej różnorodnych informacji, które trzeba było najpierw ustalić: nazwy miejsc, bieg rzek, kształt jezior, drogi, linie kolejowe, wysokość nad poziom morza, zalesienie

i jeszcze mnóstwo innych. Jak to wszystko przenieść na płaszczyznę kartki, nawet największej?

Zasady tworzenia map opracował Ptolomeusz w pierwszym stuleciu naszej ery i to on przygotował kartograficzny obraz niemal całej Europy. Tyle że jego dokonania nie były znane przez niemal 14 wieków. Dopiero w XV wieku przetłumaczono prace Ptolomeusza i rozpowszechniono, bo zaczęła się wtedy także epoka druku. Tak rozpoczęła się przygoda ludzkości z mapami.

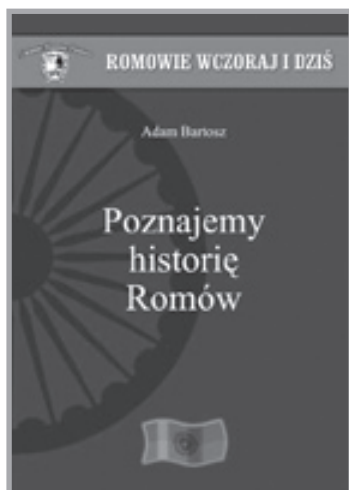
Nowa Marchia, czyli wschodnia część Brandenburgii, leżała tak daleko, że jej mapy powstały stosunkowo bardzo późno.

Pierwszą mapę regionu stworzył Elias Camerarius, profesor matematyki i astronomii na uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Dotąd przyjmowano, że powstała ona ok. 1550 roku. Radosław Skrycki udowadnia, że trzeba ten fakt przesunąć o co najmniej 20 lat później. Jak zmieniały się mapy, jak poznawano nasz region i jak on się zmieniał, traktuje ta obszerna praca młodego historyka z Chojny, która także leżała w granicach Nowej Marchii. Teraz pracuje on na Uniwersytecie Szczecińskim.

Już podczas studiów Radosław Skrycki dorabiał sobie w antykwaracie naukowym w Szczecinie. Pewnego dnia ktoś przyniósł kilka starych map. I tak się zaczęła największa przygoda jego życia. Najpierw kupował te, które przyniesiono do antykwariatu, potem sam zaczął je skupywać, wreszcie jeździł do wielu bibliotek w Polsce i w Niemczech, by obejrzeć te, do których wcześniej nie dotarł. Analizował nie tylko ich zawartość, ale sposób wykonania, technikę druku, zdobnictwo itd. Rozprawę doktorską poświęcił właśnie mapom Nowej Marchii. Na jej podstawie powstała książka, która traktuje nie tylko o kartografii, ale jest także historią naszego regionu.

Książkę ilustrują 22 tablice z mapami, niestety, w pomniejszeniu. Można zorientować się jak wyglądały, ale ich urodę w pełni prezentują dopiero duże płaszczyzy oryginałów. Komplet ok. 80 map Nowej Marchii zakupiła niedawno gorzowska biblioteka. Zachęcam zainteresowanych, aby po zapoznaniu się z książką Radosława Skryckiego obejrzeli te stare mapy. Można zabawić się treścią wielu z nich, ale trzeba także podziwiać ich urodę, a przede wszystkim talenty ludzi, którzy je tworzyli. Książka doktora Skryckiego jest znakomitym przewodnikiem po tym świecie.

JEDNO JEST NIEBO?



W Gorzowie cenimy kulturę Romów i dlatego warto się przyjrzeć trzem książkom dotyczącym romskiej tematyki, choć wydano je poza Gorzowem.

Pierwszą - Adama Bartosza „Poznajemy historię Romów” wydał Związek Romów Polskich w Szczecinku, który wcześniej przygotował efektowną książkę gorzowskiego twórcy Karola Gierlińskiego-Parno. Książka Adama Bartosza w syntetyczny sposób prezentuje dzieje tej grupy etnicznej dziś rozsypanej po całym świecie. Fenomen Romów polega przede wszystkim na tym, że żyjąc w różnych krajach, bardzo wiele przejmują z lokalnej kultury, a przecież przez wieki zachowują swoją odrębność. I choć w zasadzie nigdzie nie są lubiani, stali się symbolem cenionych wartości – na przykład wolności, fantazji, niezależności.

Jeden z rozdziałów Adam Bartosz rozpoczyna od jakże prostego, a przejmującego zdania: *Dzieje Romów w Europie to historia prześladowań*. Tylko w czasie ostatniej wojny światowej

wymordowano blisko 500 tysięcy Romów, czyli połowę ówczesnej populacji cygańskiej w Europie.

Mimo rozlicznych ograniczeń, Romowie ciągle wędrują. Nawet w ostatnich latach masowo emigrowali do krajów zachodniej Europy. Obecnie szacuje się, że w Polsce żyje ok. 20-25 tysięcy Romów, a w całej Europie od 8 do 12 milionów. Ciekawe, że w Polsce zarejestrowanych jest ok. 50 stowarzyszeń romskich. W Gorzowie najbardziej znane to Stowarzyszenie Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Bronisławy Wajs Papuszy, które organizuje festiwal „Romane Dyvesa”.

Natomiast wydawcą drugiej z sygnalizowanych na wstępie książek jest Europejskie Stowarzyszenie Edukacji i Kultury



Romskiej w Ciechocinku, które wydało wiersze Don Wasyla pod tytułem „Pasażerowie niebieskiego taboru”. Don Wasal dawniej związany był z Gorzowem, ale po głośnym przed 20 laty konflikcie przeniósł się najpierw do Włocławka, a obecnie do Ciechocinka, gdzie organizuje Międzynarodowe Festiwale Piosenki i Kultury Romów. Znany jest przede wszystkim jako wokalista, także jako kompozytor piosenek, a do wielu z nich

napisał słowa. Na jego wierszach piosenki odcisnęły piętno: ta sama tematyka, czyli cygańskie tęsknoty, podobne zrytmizowanie, prościutkie rymy. Tomik jest dwujęzyczny, a brak informacji o tłumaczu sugeruje, że autorem wersji romskiej jest również Don Wasyl. Ciekawe, która wersja była pierwsza. Karol Gierliński-Parno twierdzi, że wiersze pisze po polsku, bo język romski jest dla niego zbyt ubogi w pojęcia abstrakcyjne. Ale Edward Dębicki pisał swoje wiersze najpierw po cygańsku, a uznana poetka – Papusza wyłącznie po cygańsku.



Trzecia książka nosi tytuł „Jedno jest niebo” i zawiera piosenki Don Wasyla, czyli teksty i zapis melodii w formie nut. Jej wydawcą jest, co może zaskakiwać, Kujawsko-Pomorski Związek Literatów. We wstępie Don Wasal napisał: *Dla Cygana muzyka jest największym skarbem. Tak więc oddaję państwu swój największy skarb. Niech rozbrzmiewa w każdym domu głosząc prawdę o nas. I trwa, trwa ponad czasem*. Tak. Lu-

bimy cygańskie piosenki, choć... a może właśnie dlatego, że są szczerze, trafiające do serc, proste i... szalone.

Krystyna Kamińska

Maria Morawska

ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO – POETY – PRZYGODA Z ŻEGLOWANIEM

Przygoda Zdzisława Morawskiego z żeglarstwem zaczęła się w sposób przypadkowy. Na początku lat siedemdziesiątych (XX w.) - chcąc zorganizować Januszowi ciekawe wakacje (Junior miał wówczas 14 lat) wynajęliśmy „na Długim” (tak się zwyczajowo mówiło) stilonowski domek wczasowy, zwany „psią budką”.

Jezioro Lipie poznaliśmy znacznie wcześniej, gdy zawędrowaliśmy tam ze Zdzisławem na mojej WFM-ce, kupionej na talon, otrzymanej od brata żeglarza (o Nim niżej) – Stanisława Dudzińskiego. Jezioro, dochodzące piaszczystą zatoczką prawie do drogi, otoczone lasami, o czystej, szmaragdowej wodzie – wielce nas zauroczyło. Wtedy - wiosną 1960 r. - nie było tam żadnego ośrodka, jedynie po drugiej stronie szosy duża, prostokątna budowla, którą potem przerobiono na restaurację – słynną „Chatę za wsią”.

Zdzisław z Januszem czuli się tam doskonale: - pływali na kajakach, łowili ryby, kąpali się. Ja, ze względu na charakter pracy (przetwórstwo owoców i warzyw) – nie mogłam w czasie lata skorzystać z urlopu. „Dorskakiwałam” więc tylko do nich na koniec tygodnia – oczywiście z porządną wałówką.

Pewnej niedzieli na jeziorze pojawiła się żaglówka. Przywieźli ją dwaj młodzieńcy z Warszawy – jak się później okazało – mistrzowie Polski w siatkówce. Ja byłam już trochę „opływana” (jeździłam z bratem na obozy żeglarskie do Krynicy Morskiej, organizowane przez WKS „Śląsk”. Załoga brata na „omedze” trzykrotnie zwyciężyła w regatach „O błękitną wstęgę Zalewu Wiślanego”). - Żartobliwie zapytałam żeglarzy, czy nie potrzebują „balastu”. Potrzebowali. I tak się zaczęło. Z kajaków przesiedliśmy się na żaglówkę. Był to (chyba) „pirat”. Moim Panom bardzo się ten sport spodobał. Wciągnął ich całkowicie. W 1964 r. gorzowski Oddział LOK-u przywiózł na Długie swoje łodzie i zorganizował kurs żeglarski. Na kurs zgłosiło się dużo młodych ludzi z Gorzowa, Strzelec Krajeńskich, Dobiegniewa, Starego Kurowa. Kadre stanowili: - Zdzisław Morawski, Adam Lubiński i Zbigniew Grochowski. Młodzi ludzie z zapałem i radością uczyli się żeglowania. „Kadra” też się szkoliła. W trakcie zajęć żeglarskich Zdzisław bardzo mnie zaskoczył swoimi zdolnościami manualnymi - ucząc się węzłów żeglarskich upłół ze sznurka – jako jedyny na obozie - „gałkę bosmańską”. A w domu nie umiał nawet guzika sobie przyszyć. Udawał?

We wrześniu 1964 roku wszyscy zostali „pasowani” - przez Okręgowy Związek Żeglarski w Poznaniu – na Polskich Żeglarzy Sportowych. W 1965 r. w każdą sobotę organizowano nad jeziorem wspólne – dla wszystkich chętnych – ognisko. Zabawa była przednia. Śpiewaliśmy piosenki żeglarskie, legionowe, partyzanckie, obyczajowe:

*Dziwki po nogach całowały mnie zmysłowo,
Rencistka dla mnie zastawiła złoty ząb!
Ja nie potrafię kochać już! Ooo...niee!*

– śpiewał pięknym, silnym głosem Zdzisław. „Ooo...niee!” - wtórowali mu żeglarze.

Nie byliśmy zamożni. Nikt wtedy nie miał samochodu. (Moja WFM-ka była luksusem). Ale byliśmy młodzi, wolni, zaprzyjaźnieni. Nikt nikomu nie sprawdzał życiorysów. Byliśmy po prostu – szczęśliwi.

Co niedzielę – od rana – odbywały się regaty. Był to prawdziwy



żeglarski trening. Zdzisław nie lubił pływać „ostro”. Najlepiej czuł się przy niewielkim wietrze. Żeglarze nazywali go „mistrzem” słabych wiatrów. (Związane to było z jego kondycją fizyczną. W latach pięćdziesiątych „zaliczył” kamieniołomy, gdzie stracił nogę).

Janusza żeglarstwo oczarowało. Pewnego razu przychodzi do ojca i podekscytowany opowiada: „Tato! Tato!, a pan Adam powiedział do mnie „stary”. Tak!? I co ci kazał robić?” - „Kazał mi wybrać wodę z zęzy...”.

Któregoś dnia na Długie „zjechali” literaci z Warszawy: - mądry, uroczy Jerzy Krzysztoń z żoną Haliną, zarozumiała Jarosław Abramow z piękną dziewczyną – Basią (żałowała się, że w czasie dłuższego pobytu na Mos-

kwie nie napisał do niej nawet karteczki. „Ja piszę tylko za pieniądze” – odpowiedział krótko dramaturg i krytyk sztuki, którego nazwiska nie pamiętam – też z żoną. Warszawiacy nudzili się na wakacjach w Sławie i gdy w Rozgłośni Zielonogórskiej usłyszeli wywiad z Morawskim, który wychwalał pobyt nad jeziorem w Długim – spakowali się i przyjechali. Bardzo im się z nami podobało. Może mniej Abramowowi, któremu z pomostu spadł do wody cenny zegarek. A woda była tam głęboka. Poprosił więc żeglarzy o pomoc, obiecując im ćwiartkę wódki. Trzech chłopców nurkowało kilkanaście minut w zimnej wodzie. Niestety! Żegarka nie wyłowili. Naburmuszony Abramow odszedł z butelką wódki w kieszeni. Byłam oburzona. Na szczęście sytuację uratował Morawski, który rozgrzał zmarzniętych żeglarzy domową pieprzówką.

Wielkim wyczynem żeglarzy było – w ramach kursu w 1965 roku – odbudowanie (oczyszczenie i pogłębienie cieków, wyciągnięcie gałęzi i powalonych drzew) – drogi wodnej z Długiego do Dobiegniewa. Jakież było zdumienie mieszkańców, gdy w niedzielę, 12 sierpnia 1965 roku – w samo południe – na wody Dobiegniewa wpłynęła pokojowa „armada” pod białymi żaglami...

Rejs trwał trzy dni. Wypłynęliśmy z przystani w Długim. Płynęliśmy przez jezioro Lipie, przepływając udrożnionym przesmykiem, ze złożonymi masztami - „na pycha” - na uroczę jezioro, zwane „Szmaragdowym”, następnie krętą rzeczką wypłynęliśmy na „szerokie wody” - czyli jezioro Chomętowskie (dziś Osiek). Stamtąd, już pod pełnymi żaglami – prosto do Dobiegniewa. Z powrotem – oczywiście – w odwrotnej kolejności.

Cudowna to była wyprawa! Nocowaliśmy w łajbach, pod rozgwieżdżonym niebem. Byliśmy zespoleni z naturą. Byliśmy jej częścią. Nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy, jak bardzo byliśmy szczęśliwi (...)

Następnego – 1966 roku – kurs żeglarski zorganizowano też nad jeziorem Lipie, ale w ośrodku wypoczynkowym Zakładu Tuczny Trzody Chlewnej w Dobiegniewie. Możliwe to było dzięki życzliwości Dyrekcji Zakładu i lekarza weterynarii dr Bartosza, zaprzyjaźnionego ze Zdzisławem.

Ośrodek, położony w lesie, nieco oddalony od „centrum” Długiego, z własną przystanią dla żeglarzy. Komandorem obozu został Zdzisław Morawski, jego zastępcą Adam Lubański, a bosmanem Zbigniew Grochowski. Na kurs zapisało się – jak zwykle – dużo młodzieży, w tym sporo dziewcząt.

W pamięci pozostały mi Jola i Danusia (pierwsza miłość Janusza!) Zelerównie (wyróżniały się nie tylko urodą, ale i sposobem bycia), Henryk

Kujawa, Zbyszek z Dobiegniewa (adorował moją siostrzenicę – Jolę Dudzińską), który został kapitanem Żegluga Wielkiej i wielu, wielu innych, których nazwisk nie zapamiętałam.

Na zakończeniu kursu urządzono prawdziwe żeglarskie „otręsiny”: przebrany za Neptuna Henryk Kujawa „egzaminował” kandydatów na żeglarzy w wyrafinowany sposób: picie wody z octem – bez skrzywienia, taplanie się w błocie, pływanie w jeziorze. Nie oszczędzano nikogo, a szczególnie dziewcząt. Zdali wszyscy. Wielu jak na przykład znany automobilista Andrzej Szykowski, do dziś z nostalgią wspomina te wspaniałe przygody.

Po zakończeniu sezonu żeglarskiego Zdzisław Morawski działał jeszcze jakiś czas w LOK-u. W 1967 roku – z okazji V-lecia sekcji żeglarskiej dostał dyplom „Za działalność i owocny wkład pracy w rozwoju żeglarstwa Klubu Wodnego LOK”. Niestety! długotrwała choroba (między innymi korzonki) – uniemożliwiła Mu aktywne pływanie.

Jednak na tym przygoda Zdzisława z żeglarstwem nie zakończyła się. Bezpośredni kontakt z przyrodą, zmaganie się z nią, uleganie sile wiatru, głębi wody, tożsamość z naturą zainspirowały Morawskiego – poetę. Zaowocowało to wierszami: „Woda”, „Rejs”, „Staszкови Dudzińskiemu”, „Chwała rei”, „Pieśń żeglarza na cześć sprzętu” – wydanymi w tomie „Płaskorzeźby” (Wyd. „Śląsk” 1965); „Burlaczenie”, „W zatoce”, „Rejs przez ciche źródła” (poemat napisany prozą poetycką, uznany za jeden z ciekawszych współczesnych utworów poetyckich, opiewający piękno przyrody, w którą wpisany jest los człowieka – wydanymi w tomie „Obecność” (Wyd. „Śląsk” 1974).

Na Długie jeździliśmy jeszcze kilka razy. W 1980 roku zabraliśmy tam na wakacje synka Janusza – 8 letniego Maćka, ukochanego wnuka Zdzisława. Niestety! Żaglówki były już dla nas nieosiągalne! Niezwykle młody człowiek z wypożyczalni sprzętu nigdy nie miał dla nas wolnej łódki (był to już chyba zwiastun „polowań na czarownice”). Zadowalaliśmy się więc wiosłówką. I tak zamiast „łajby” – mieliśmy „krypę”, na której Maciek z zapalem wiosłował – aż do pęcherzy na dłoniach. Pływaliśmy na niej w czwórkę (był z nami owczarek alzacki, wierny przyjaciel – Bard, który też uwielbiał pływanie aż na koniec Szmaragdowego jeziora, gdzie przy pochylonej nad wodą brzozie Zdzisław bardzo lubił pływać. Kapaliśmy się tam wszyscy (Maciek w kapoku) – Bard oczywiście też.

Na zarośniętym drzewami i krzewinami zboczu wypływało tam małe źródło, które żeglarze nazwali „Źródło Morawskiego”. (Dowiedziałam się o tym niedawno. Było mi miło).

Po skończonej żegludze Dziadek z zapatrzonym w niego Wnukiem grali w szachy, w kometkę, strzelali ze sporządzonego przez Zdzisława łuku. Maciek – na strzeżonym kąpielisku – uczył się pływać i nurkować (to mu szło lepiej). Ja zajmowałam się przygotowaniem smacznych posiłków (z Maćka było „chucherko” i musiałam go dobrze odżywiać) i dbałością o dom (a właściwie – domek) i cały „inwentarz”. Bard strzegł naszego „gospodarstwa”. Pogoda była wspaniała. Zdrowie i dobry humor dopisywały wszystkim. Czy mogą być piękniejsze, szczęśliwsze wakacje? Niezapomniane wakacje na Długim...

Maria Morawska

Tekst zamieszczony w czasopiśmie „Lamus” (nr 16/2007, s.89-91) – poprawiony i uzupełniony przez p. Marię Morawską

BARDZO OSOBISTY TRYPTYK O POECIE Z. M.

Zanim czytałem Jego wiersze to
najpierw pływaliśmy Omegą
Uczył nas żeglarskich manier i fachu
Kiedyś
Wojtek Wiśniewski
Za sterem
Ja i Mistrz przy szotach
Wiatr z nami

*

Padal deszcz Kiedy szedłem do Niego
Z paroma Zapisanymi kartkami
Odkrywał wtedy Kazia Furmana
Z którym popijaliśmy w Teatralnej
A ja dowiedziałem się
Że nie mam używać przymiotników
I starać się nie pisać o miłości
Tak więc zaniechałem

*

Kłanialiśmy się sobie Niekiedy zagadywał:
– I co, piszesz?
– Tak, ale mało
– Przyjdź, pokaż Ale mijaly lata
Popychałem wózek z dziećmi
Albo za kierownicą ciężarówki
Odmierzałem kilometry
Przyszedł czas
I przeczytałem Dwa Poematy
Wrócili z pamięci koledzy
Zabierani przez zomowców
I moje skrobanie na ścianach WRON – won
Później wydrukowano mój tomik
„Zaistniałem”
Ale nie było już Mistrza
Żeby pochwalił albo zganil
Może dlatego ciągle myślę
Że to „niewiersze”
Co piszę
Albo
...tylko wierszydelka

Zdzisław Morawski

CHWAŁA REI

Pieśń żeglarza na cześć sprzętu

W cieniu żagla płynie rzeka
W cieniu chmury płynie łódź
W cieniu sosny skrzypi pień
Pień sosnowy przyszłej rei
Chwała rei
Od korony do korzeni
Od wierzchołka do podstawy
Chwała masztom
Od ich topów aż po pięty
Chwała żaglom

Chwała nośnej funkcji płótna
Chwała zwojom lin konopnych
Chwała grotom wyostrzonym
Białym fokom
Burtom chwała
Chwała sterom rzeczom kursu
Płetwie płaskiej i pionowej
Którą sternik z rumplem w dłoni
Chwali starym - Panta rhei

Niezwykłe dedykacje, oryginalne autografy

Od poniedziałku 22 do końca czerwca w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej można oglądać wystawę ok. 200 oryginalnych autografów i rękopisów znanych Polaków i postaci związanych z historią naszego kraju.

Są wśród nich dedykacje i podpisy wielkich dowódców: króla Jana III Sobieskiego, cesarza Francji Napoleona Bonaparte, generałów: Tadeusza Kościuszki i Henryka Dąbrowskiego oraz marszałka Józefa Piłsudskiego.

Warto zobaczyć także niezwykłe listy sióstr Napoleona: Elizy, która była kochanką kompozytora Niccolò Paganiniego oraz Pauliny, która pónaga pozowała do rzeźby Antonino Canovy „Wenus”.

Uwagę przykuwają także autografy i książki z dedykacjami największych polskich wieszczów z epoki romantyzmu: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasińskiego, a także ludzi znaczących dla polskiej kultury: Teofila Lenartowicza, Tadeusza Boya-Żeleńskiego czy Gustawa Henryka Grudzińskiego.

Kolekcja jest własnością rodziny szczecińskiego antykwariusza Wojciecha Lizaka. – Te dokumenty trafiły do nas przez przypadek i dzięki szczęściu. Nigdy wcześniej nie pokazywałem publicznie swoich zbiorów, ale po namowach dyrektora biblioteki Edwarda Jaworskiego zdecydowałem się je udostępnić. Nie chcę, by w dobie internetu i e-maili ludzie zapomnieli o listach. To piękna i niezwykła forma przekazu informacji – powiedział 22 czerwca podczas otwarcia wystawy.

Małgorzata Dobrowolska

XXVII INTERDYSCYPLINARNE WARSZTATY ARTYSTYCZNE RSTK Gorzów-Garbicz

Czasy współczesne nie są przychylnie sztuce, nie są przychylnie kulturze. Z poezją też różnie bywa, choć ukazują się coraz więcej nowych, znakomych książek. Powstają też liczące się dzieła malarskie czy muzyczne, obrazy filmowe, godne największych tradycji filmu polskiego. A przecież przede wszystkim triumfy święci kultury masowa w najgorszym wydaniu. Niechaj ona istnieje i rozwija się, ale niech promuje wartości, a nie miazgę. Przykładem dobrej kultury masowej w literaturze jest m.in. książka Jan Twardowski. I taka kultura jest potrzebna. Niestety są to tylko wyjątki.

Z prawdziwym wzruszeniem, a także ze zdziwieniem obserwowałem to wszystko, co działo się w Gorzowie Wlkp. i Garbiczu podczas Warsztatów Artystycznych. Brałem w nich udział po raz pierwszy. Odniosłem wrażenie, że w kulturze regionu dzieją się rzeczy ważne, które należy określić mianem kultury wysokiej, niosące wartości i tworzące nowe w tych trudnych dla człowieka, zmuszające go do refleksji i zamyślenia nad sobą i światem. Bo prawdziwą sztukę od wieków zajmują te same i ciągle aktualne pytania: po co na tej ziemi jesteśmy, jaki jest sens naszego trwania, jak powinno wyglądać nasze życie, aby było szlachetne, aby budowało, a nie niszczyło, aby człowiek był współkreатorem naszej planety i swojego trwania.



*Właściciel kolekcji Wojciech Lizak
na otwarciu wystawy*

Z prawdziwym wzruszeniem a nawet podziwem wysłuchałem programu poetycko-muzycznego pt. „Ave Maryja”, który został zaprezentowany w katedrze gorzowskiej z okazji nawiedzenia cudownego obrazu Matki Boskiej Rokitniańskiej. Tego rodzaju przedsięwzięciom w świątyniach należy jak najbardziej przyklasnąć. Należą one przecież do tradycji, gdy świątynie były (choćby w czasach solidarności, a także i znacznie wcześniej) otwarte na oścież dla kultury. Księżu proboszczowi należą się ogromne brawa, iż kontynuuje tego rodzaju zjawiska artystyczne.

Warsztaty Artystyczne w Garbiczu, w pałacu „Magnat” odbyły się w czterech kategoriach: literackiej, plastycznej, muzycznej i filmowej. Zajęcia wszystkich grup zostały profesjonalnie zorganizowane.

W sekcji literackiej, co trzeba podkreślić, większość poetów ma już opanowany warsztat i podejmuje tematy istotne dla człowieka współczesnego. Ta sekcja dla mnie jako moderatora zająć była najważniejsza. Jeżeli miałbym kogoś z nazwiska wymienić, choć właściwie wszyscy zasługują na wyróżnienie, muszę wskazać na Majkę Żywicką-Luckner (wiersze na wysokim poziomie), Agnieszkę Tomczyszyn-Haraszynowicz, Andrzeja Szaflickiego, Krystynę Woźniak, Zofię Mikułę, Beatę Patrycję Klary, Krzysztofa Ciesielskiego (oryginalne brzmienie poezji, prozy poetyckiej i prozy). Sądzę również, że Ferdynand Głodzik godny jest wyróżnienia, gdyż w dobry sposób nawiązuje do znakomych naszych satyryków, chociażby Żaluckiego, dostrzega wady i przywary, nikogo nie raniąc. To już duża sztuka! Odbyło się także parę bardzo udanych spotkań poetyckich. Poeci prezentowali swoje wiersze nad podziw dobrze, wyraźnie i z sensem. W tym także zasługa Czesława Gandy, który prowadził z literatami ćwiczenia dykcyjne, dbał wręcz w sposób okrutny o dykcję i kulturę języka. Tak należy, gdyż złe mówienie wiersza niszczy nie tylko mowę polską, ale niszczy utwór i jego artystyczną wymowę. Warsztaty literackie prowadzili Nikos Chadzinikolau i niżej podpisany.

Muzycy biorący udział w warsztatach – jestem przekonany – odnieśliby sukcesy także w Warszawie i w innych miastach Polski, szczególnie Marzena Śron z Gorzowa i Jarek Mielcarek ze Szczecina. Plastycy zaprezentowali nam na zakończenie Warsztatów malarstwo na wysokim poziomie. Urzekły kolory, a pędzle były śpiewny jak nuty. Wzbudził moje zainteresowanie obraz zbiorowy „Kobieta w kapeluszu” namalowany przez grupę literatów pod kierownictwem W. Adamczyka. Obejrzelśmy też kilka obrazów filmowych. Zrealizowane zostały ze znanostwem sztuki filmowej, były jasne, przejrzyste, piękne, dowcipne, nie było w nich dłużyzn, a wydobywały sens przesłania. Realizatorzy to Ryszard Kućko i S. Turski.

Każdego ranka odbywałyśmy ćwiczenia jogi pod kierownictwem Ferdynanda Głodzika, a każdego wieczora spotkaliśmy się na spotkaniach integracyjnych, które scalały środowisko. Artysta jest bardzo samotny w procesie twórczym, natomiast bliskość innych jest wręcz konieczna, aby mógł trwać i tworzyć. Na zakończenie parę słów o Waldemarze Dubiku – właścicielu pałacu „Magnat” w Garbiczu. To piękne, że jest sponsorem artystów, że potrafi się dzielić tym, co ma. Doznaliśmy w tym pałacu wiele serca i wręcz staropolskiej gościnności. Takich dobrodziejów należy kochać.

Warsztaty Artystyczne zostały znakomicie zorganizowane, a przecież wszystko zależy od pojedynczego człowieka. Tego z pasją, oddaniem dla sprawy, od jego zaangażowania, ukochania tego co robi. Jestem pewien, że gdyby nie Czesław Ganda, te warsztaty byłyby jałowe, puste, jakich jest wiele w Polsce. Tymczasem tutaj zapanował pełen profesjonalizm i ukochanie kultury. Bo przecież to kultura nas utrwała i ocala.

Zdzisław Łączkowski



POEZJA GŁOSZONA W KOŚCIELE

W programie Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych organizowanych przez Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Gorzowie Wlkp., tradycją stał się występ uczestników w obiekcie sakralnym. Tegoroczne, XXVII warsztaty, zbiegły się datą z uroczystościami nawiedzenia cudownego obrazu Matki Boskiej Rokitniańskiej Cierpliwie Słuchającej, których miejscem centralnym stała się katedra gorzowska. Ten to właśnie okazały i monumentalny obiekt, duma miasta nad Wartą, stał się świadkiem programu poetycko - muzycznego „Ave Maria”, przygotowanego przez wszystkie sekcje artystyczne, pod kierownictwem szefa gorzowskiego RSTK, Czesława Gandy.

Przygotowania do spektaklu rozpoczęły się tuż po przyjeździe uczestników, czyli w przeddzień występu. Od godzin popołudniowych 23 maja, Czesław Ganda – tego dnia „człowiek z 39,5”, co absolutnie nie ma związku z tytułem popularnego serialu, tylko z gorącą połączoną z bólem gardła – i jego podopieczni, zgromadzeni w budynku Miejskiego Centrum Kultury, przy ul. Drzymały 26, zaczęli śpiewać i recytować teksty przygotowane do występu.

Od rana następnego dnia – powtórka i próba generalna. Dopięci na ostatni guzik, o godz. 15.00 stawiliśmy się w katedrze, gdzie po Mszy Św. zaprezentowaliśmy nasz program. Występ rozpoczęła wokalnie Marzena Śron z Gorzowa, wykonaniem pieśni „Chwalmy Pana”. W refrenie towarzyszyła jej sekcja literacka. W części poetyckiej, swoje wiersze prezentowali: Maria Borcz, Beata Patrycja Klary, Ferdynand Głodzik i Zenon Cichy – wszyscy z Gorzowa. Poetów gorzowskich wsparła silna grupa warszawska w składzie: Maria Żywicka-Luckner, Krystyna Woźniak, Zofia „Sofim” Mięka oraz Krzysztof Ciesielski. Skład sekcji literackiej dopełniali: Agnieszka Tomczyszyn z Głucholaz, Lila Kucfir z Górowa w Kotlinie Kłodzkiej, Krzysztof Strzemecki z Radomia i Andrzej Szaflicki z Ostrowi Mazowieckiej. Lila Kucfir i Krzysztof Strzemecki to warsztatowi debiutanci. Oboje radzili sobie jednak dzielnie i wypadli bardzo dobrze, szczególnie Lila.

Pięknym przerywnikiem części poetyckiej była piosenka „Do ciebie mam” Katarzyny Gólczyńskiej. Wiersz Marii Borcz „Madonnie z Rokitna”, był sygnałem dla wszystkich uczestników programu, że nadszedł czas finału. Sekcje literacka i plastyczna wtórowały w refrenach Marzenie Śron przy wykonaniu pieśni „Gdy serce twoje”. I tu pewne novum. W tym roku nie było w kościele prezentacji prac sekcji plastycznej. Reżyser, Czesław Ganda, nie zapomniał jednak o plastykach. Wspólnie z literatami śpiewali refreny finałowego utworu. Po występie katedra rozbrzmiała okłaskami. Ksiądz proboszcz parafii katedralnej, Zbigniew Samociak, pięknymi, serdecznymi słowami podziękował wszystkim artystom. Dla upamiętnienia występów parafia otrzymała obraz autorstwa Henryka Filipczaka z Gliwic (wręczał sam autor) oraz umieszczony na odwrocie fragment wiersza nieodżałowanej Marii Przybylak, założycielki i pierwszego prezesa gorzowskiego RSTK. Tekst zaprezentował Czesław Ganda.

Jakkolwiek czas przygotowań był krótki, a terminarz warsztatów napięty, wykonanie programu powiodło się. Nie było wpadek tekstowych ani wokalnych. Program przebiegł sprawnie i godnie dla miejsca i czasu. Literaci wymownie interpretowali swoje wiersze, wielu mówiło z pamięci, a śpiew wokalistek w murach katedry brzmiał tak, jak brzmieć powinien – anielsko. To pozostanie – zarówno w pamięci widzów, jak i zarejestrowane przez sekcję fotograficzno-filmową. Bravo artyści, bravo reżyser.

Andrzej Jacek Szaflicki

PREMIERY KSIĄŻEK

Pogodny wieczór, kawiarniane stoliki, świece. Tak oto wyglądała 18 lutego promocja najnowszej książki **Aldony Robak** „Martwa natura z brzoskwiniami”. Jest to już czwarty tomik poetycki autorki po: „Moje wołanie”, „Moje ogrody”, „W dolinie czasu”. Atrakcją dla zebranych była multimedialna prezentacja dzieł wielkich mistrzów, które autorkę do napisania wierszy natchnęły. Przedstawiono obrazy Maneta, van Gogha, Boznańskiej, Makowskiego, Degasa.

Prezentem na Międzynarodowy Dzień Kobiet dla wszystkich czytelników były dwa tomiki poezji gorzowskich poetek: **Krystyny Caban** i **Renaty Paligi**. Promocja tych książek odbyła się 4 marca w atmosferze kawiarnianego spotkania przy słowie, muzyce i kawie. Poetki według wcześniej przygotowanego scenariusza przez Beatę Patrycję Klary – zaprezentowały wiersze dobrane tematycznie. Ich słowa dopełniała muzyka w wykonaniu Marka Piechockiego oraz multimedialna prezentacja ilustracji do obu książek.

29 kwietnia premierę miał tomik pt. „Głód miłości” Teresy Wilczyk-Surmacz. Głód ciała zaspokoili pyszne wypieki zaprzyjaźnionego z autorką Domu Pomocy Społecznej w Kamieniu Wielkim. Jej wiersze czytała Bożena Pomykała, aktorka Teatru im. J. Osterwy, a piosenki piewał Łukasz Jakubowski.

Już dziś zapowiadamy premierę kolejnego gorzowskiego tomiku poetyckiego **Anny Żłobińskiej** „Stapanie po szkłe” w salonie WiMBP 11 września, o godzinie 18:00. Książka jest debiutem autorki i początkiem literackiej serii wydawniczej WiMBP.

Redakcja czasopisma
„Pegaz Lubuski”
w GORZOWIE WLKP.

SPROSTOWANIE

W nawiązaniu do tekstu red. Krystyny Kamińskiej „Pegaz Lubuski” nr 1/36/2009/ - Premiery książek: - „Gorzów w mojej pamięci”, a szczególnie jego fragmentu:

Zgłoszony do konkursu fragment „Zapisków codziennych” Zdzisława Morawskiego dotyczy przełomu lat 1991 i 92, gdy nawiązywano nowe kontakty między pisarzami z Gorzowa i Frankfurtu nad Odrą. JUŻ WCZEŚNIEJ BYŁ ON OPUBLIKOWANY W „PEGAZIE LUBUSKIM”, więc odkryciem nie jest, a ponadto tylko pośrednio dotyczy życia miasta. Ale to decyzja Komisji konkursowej, . . .

- oświadczam, co następuje:

- opracowany przeze mnie tekst „Zapiski codzienne” Zdzisława Morawskiego, został zgłoszony do konkursu „Gorzów w mojej pamięci” w maju 2007 - NIGDZIE WCZEŚNIEJ NIE BYŁ ON PUBLIKOWANY.

Konkurs został rozstrzygnięty w dniu 2 lipca 2007 r. Zgodnie z werdyktem Komisji Konkursowej „Zapiski codzienne” otrzymały jedną z dwóch głównych nagród /”Gorzowskie Wiadomości Samorządowe” nr 7/8 2007/.

Prace, zgłoszone na konkurs przejęła Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gorzowie - celem wydania ich w formie książkowej.

W październiku 2007 r. w 5/28/ numerze „Pegaza Lubuskiego” ukazał się materiał „W 15 rocznicę śmierci Zdzisława Morawskiego”, w którym zamieszczono również nagrodzone „Zapiski”, tytułując je: „Zdzisław Morawski Zapiski codzienne”.

Zatem stwierdzenie red. Krystyny Kamińskiej, że nagrodzony fragment tekstu - Już wcześniej był opublikowany w „Pegazie Lubuskim” - jest krzywdzącym pomówieniem. A przecież wystarczyło tylko sprawdzić datę ogłoszenia wyników konkursu i publikacji w „Pegazie Lubuskim”.

A opinia, że współpraca pisarzy z dwóch miast /DWÓCH PAŃSTW !/, położonych po przeciwnych brzegach Odry... „tylko pośrednio dotyczy życia miasta” - jest stanowiskiem kuriozalnym.

Ja zaś ze swej strony dziękuję Komisji Konkursowej, że oceniła tę współpracę i uwieczniając ją - w prowadzonych na bieżąco notatkach - zapis mego Męza - Zdzisława Morawskiego - zgodnie z ich historyczną ważkością.

Maria Morawska

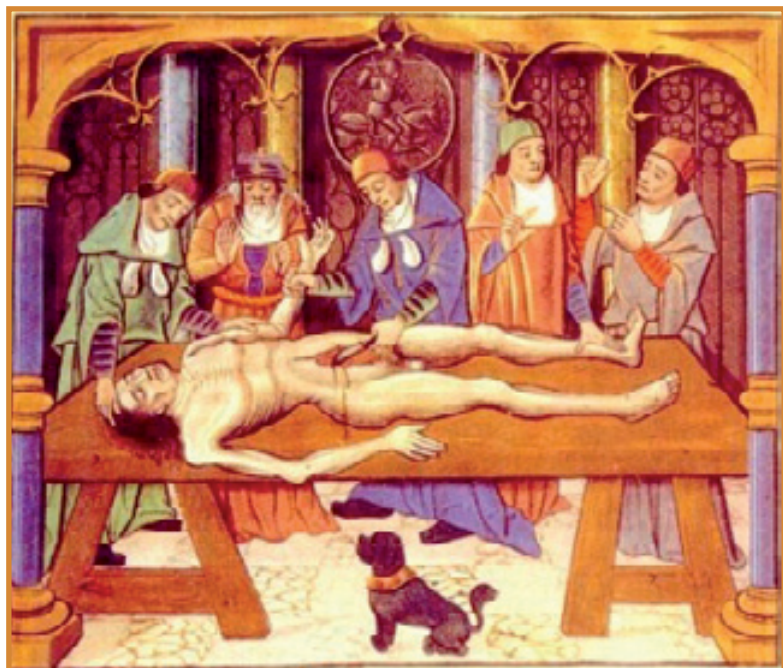
W odpowiedzi:

Przepraszam P. Marią Morawską i Czytelników „PL” za niezbyt fortunne sformułowanie. Nagrodzony tekst Zdzisława Morawskiego opublikowano (za zgodą p. Marii Morawskiej) w „Pegazie” wcześniej niż w książce, ale - oczywiście - już po decyzji konkursowego jury.

Krystyna Kamińska

Jacek Lauda

ZEGAR BIOLOGICZNY



– To zaczynamy.

Chirurg pociągnął skalpelem po brzuchu pacjenta, wiekowego staruszka, którego ziemską obecność zależała od kilku sprawnych lekarzy. Anestezjolog przyglądał się urządzeniom, które w jakiś tajemniczy, zdawałoby się, sposób kontrolowały życiowe funkcje uspiętego człowieka. Wyraz twarzy „usypiacza” wskazywał, że, jak dotąd, wszystko w normie.

Tymczasem główny chirurg rozcinał kolejną doczesną powłokę pacjenta. Instrumentariuszka trzymała w pogotowiu kolejne narzędzia, stopy wacików i chustki chirurgicznych. Drugi chirurg szykował się do eksploracji krwistego wnętrza, przypominającego egzotyczną pieczarę.

– Hmm... nic nie słyszę – powiedział chirurg nadstawiając ucha nad rozwartym korpusem pacjenta. Spojrzał na anestezjologa. Ten pokiwał przecząco głową, pacjent żył i miał się nieźle.

– Kiedyś znalazłem taki z wahadłem, prawdziwa rzadkość – rzucił chirurg zagłębiając dłoń w brzuchu pacjenta. – Jak się domyślicie, nietrudno było go znaleźć.

Uwaga rozbawiła zespół i napięcie towarzyszące im od początku operacji opadło.

– Opowiedz jak to było z tą kukułką – powiedział rozluźniony drugi chirurg.

– Przecież już to znacie... No dobrze – zaczął opowiadać nie przestając pracować. – To była jakaś malarka. Nie mogliśmy znaleźć zegara, tak jak teraz. Operacja trwała już bardzo długo, a nie mogliśmy go znaleźć. Już mieliśmy ją zaszyć, kiedy wybiła piętnasta i wyskoczyła kukulka! Wyobrażacie sobie!? Czterdzieści lat operuje, ale coś takiego...

Urwał nagle i prawie wykrzyknął:

– Mam!

Rozbawione grono zamilkło w oczekiwaniu. Chirurg wyciągnął coś połyskującego.

– Do licha! To klepsydra! – Był zdumiony jak pozostali.

– Piasek prawie się przesypał – zauważył młody chirurg. – Miał szczęście, zdążyliśmy w samą porę, żeby ją odwrócić.

– To był człowiek starej daty – powiedział chirurg nalewając sobie kawy. – Taka klepsydra prosta w obsłudze. Tych nowoczesnych zegarów biologicznych nie lubię, trudno je znaleźć i są takie bezduszne...

A u nas **GROSS** za PRL-em tęskni

(fraszki wciąż jak świeże bułeczki)

KRĘGOSŁUP IDEOWY

Kręgosłup ideowy,
też potrzebuje głowy.

KADRA

Mamy wciąż, niestety
kadrę jeszcze liczną,
co prywatnie ma gdzieś
opinię publiczną.

TROSKLIWY TOWARZYSZ

Troskliwie spyta jak ci leci,
kiedy już wie, że na dół lecisz.

WYZNANIE AKTYWISTY

W tego wierzę,
kto przy sterze.

UPARTY DZIAŁACZ

Szuka sposobu
jak dojść do żłobu.

PORADNIK IDEOLOGICZNY

Musisz wiedzieć w każdej chwili,
na ile możesz się wychylić.

Ferdynand Głodzik

BIEDRONKA I MSZYCE

Masz dużo kasy i jesteś super;
Ja też bym chciała mieć taki kuper;
do spasionego rzekła pająka,
nienasycona chytra biedronka.

Pająk powiada: cóż mogę rzec?
Najpierw powinnaś zbudować sieć;
Biedronka przeszła wprost
do konkretów:
Stworzyła gęstą siatkę marketów.

Gdy ogarnęła siecią ulice,
w niej zatrudniła drobniutkie mszyce;
aby wyciskać z nich siódme poty,
za minimalne kilkaset złotych.

Bo ma na zyski apetyt wilczy
i wnet zyskała miano krwiopijcy.
Czerwony pancerz; harde stworzenie,
a czarne kropki gryzą sumienie.